Nr. 9. Warszawa, dnia 19 Lutego (3 Marca) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Wojna w Afryce, III. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Duchy. Część czwarta: Koniec świata (c. d.), p. Aleksandra Świętochowskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Etyka obrończa i jej sprawy. — Parana, I, p. Zen. Piet — Kolonie wiejskie dla obłąkanych, p. W. Bugla. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Otton Gaupp: Herbert Spencer. I, p. K. Włostowskiego. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura niemiecka w ostatniem pięćdziesięcioleciu, p. W. F. — Przegląd teatralny: Widma Moniuszki. I, p. A. N. — Notatki literackie i artystyczne.—W dali. — Kronika.— Odpowiedzi Redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

Abonentom, którzy nie otrzymali nr. 1, 2 i 3, rozsyłamy je łącznie z dzisiejszym.

Skutkiem wyczerpania się numerów ze Stycznia i Lutego, prenumeraty za te dwa miesiące przyjmować nie możemy.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

III.

Ciężka klęska spadła na Boerów. Dn. 27 z. m., w samą rocznicę pogromu angielskiego na Majuba-hill w roku 1881, naczelny wódz Oranian, Cronje, z blizko czterema tysiącami wojska, pozostałego z korpusu, który uprowadził był z bezpośredniej widowni Kimberleyu, zdał się na łaskę i niełaskę zwycięzcy pod Koedoesrandem, nad tą samą rzeką Modderem, która w grudniu była świadkiem niezwykłych powodzeń boerskiego oręża. Wódz angielski, marszałek Roberts, mógł był wcześniej wymódz kapitulacyę, ale dla większego wrażenia wolał poczekać do 27 lutego i tego dnia dopiero z samego rana przepędził ofiary swoje pod jarzmem upokorzenia i niewoli. Wprawdzie już przed tygodniem donoszono o żądaniu wstrzymania kroków nieprzyjacielskich, wyszłem z obozu boerskiego; ale ani fakt sam nie jest pewnym, ani też znaczenie jego jasnem: Boerowie mogli chcieć przerwy w boju tylko dla zebrania i pochowania poległych. Układy dalsze, gdy każde nowe słońce zaskoczonym zwiększało ciemności przed oczyma — nie mogły utykać na pewnych warunkach, któreby Cronje pragnął dla siebie wyjednać: ani materyalnie, ani moralnie przebić się już nie mógł przez stalowy wał, który go zewsząd opasywał.

W położeniu, w którem generał orański znalazł się już 19 z. m., nie było dla niego ocalenia — chyba z posiłków od wschodu, a te albo wcale ku niemu nie dążyły, albo zbyt późno rzucone w ruch, zdążyć na czas nie mogły, albo wreszcie były zbyt drobne, aby nawet podstąpić pod wielkie siły Anglików się odważyły, a odważywszy się, mogły doznać czegokolwiek innego, prócz rozbicia. Dzień 18 z. m. rozstrzygnął o losie Boerów, zaskoczonych przez wyprawę Robertsa pod Kimberley. Tego dnia stoczyli oni bohaterską walkę z generałami angielskimi: Frenchem i Kelly-Kennym, którzy ich od górzystej pozycyi Paardeberga, od wzgórza Boschkop, dalej na wschód położonego, przypierali do rzeki Modder i wtłaczali w kotlinę koedoesrandzką — aby z niej już żywcem nie wypuścić. Jeżeli się weźmie liczbę 8,000 żołnierza pod bronią, z Maggersfontein uprowadzonego w d. 15 z. m., jako prawdziwą i zestawi z liczbą wziętych do niewoli, otrzyma się połowę na poległych w odwrocie, który nowym, taktycznym blaskiem opromienił imię boerskie.

Nie było ocalenia dla nieszczęśliwych, gdy raz już zła pozycya ich przytrzymała, ale było ocalenie, dopóki się w jej mocy nie znaleźli. Pierwotny pochód Cronjego prawym, północnym brzegiem Modderu, pozwalał wymknięcie się wrogowi przewidywać. Tylko przejście na brzeg południowy, przy przemagających siłach i stracie czasu, która Anglikom pozwoliła właśnie zyskać na czasie — zgotowało los bolesny dla serc, szkodliwy dla wojny. Ponieważ Anglicy szli od południa, a po zajęciu Kimberleyu (właściwie dopiero 15 z. m.) także i od zachodu, odwrót przeto na wschód i północ był koniecznością, dyktowaną przez rozsądek. Pomknięcie o kilka mil geograficznych od Maggerfontein do dnia 17 z. m. stanowiło już samo przez się okoliczność sprzyjającą dalszemu odwrotowi, który teoretycznie w stronę północy ku Boshof, w stronę wschodu ku Hotel rozwinąć się był powinien, nie trzymając się ani biegu rzeki, ani kierunków południowo-zachodnich. Lecz wojna nie jest samą tylko teoryą, a pragmatycznej jej historyi nie kreśli się w sprawozdawczych poglądach. Nie wiemy, co skłonić mogło, skłonić musiało, Cronjego do przejścia na brzeg lewy, gdzie właśnie lew miał swą jaskinię.

Jeżeli generał orański cofając się szlakiem nieszczęścia, zamyślał bronić Bloemfontein, to widocznie nie miał wyobrażenia o nagromadzeniu sił angielskich, zagradzających mu drogę do stolicy. Jeżeli spodziewał się odsieczy, to widocznie nie zawiadomiono go o rozproszeniu sił boerskich w krainie Przylądkowej, a znieruchomieniu ich, ciągle jeszcze trwającem, pod Ladysmithem. Jeżeli nie chciał iść na północ, aby uniknąć pochodu przez kraj napół stepowy, to musiał widzieć szczupłości swych zapasów żywności dla ludzi i koni, a może nawet brak wody, bez której zgoła już pochód w skwarne lato tamtejsze byłby niemożliwym. Dopiero wtedy, gdyby wszystkie wątpliwości rozstrzygnęły się przeciwko niemu, możnaby go za to, co uczynił, potępić. Potępianie z blizka czy z daleka przez naród, co ma własną krwią i sercem swojem płacić, czy przez strategów, co, to siedząc spokojnie przy biurkach o 1,200 mil od żywej wojny i niepotrzebując krwi wylewać, mogą, co najwy-

żej rozlać tylko trochę atramentu — potępianie doraźne, jednym tchem gorączki lub geniuszu lęgnącego się w takich razach nawet w marnych głowach — jest objawem tak ludzkim, tak człowieczym, tak naturalnym, że możemy się przygotować na całe potoki prawdy, w której nawet zdrady nie zbraknie. Cronje jest już jeńcem w Capetownie.

Tydzień polityczny. Nieszczęścia nie przychodzą pojedynczo; każde ma zwykle towarzysza. Tego samego dnia, kiedy Cronje składał broń, 27 lutego, Buller zdobywał górę Peters, bardzo ważną na drodze od Tugeli do Ladysmithu. Działania w celu odsieczy trwają od 15 lutego; w tej chwili może już cel osiągnięty. Anglikom w Londynie zaczyna żółć spływać, a ogólna narodowa żądza zbudowania kolei angielskiej na ziemi angielskiej w Afryce od Przylądka Dobrej Nadziei aż do Assuanu — wyraża się odpowiedniem perorowaniem gazet. W sprawozdawcy wojskowym *Timesa* znalazła sobie ta żądza instrument najdoskonalszy. W pół roku po zamknięciu konferencyi w Hadze organ mieszczaństwa bogatego domaga się zupełnego przyłączenia Transwalu i Oranii, zgotowania im losu Alzacyi i Lotaryngii i przerobienia Boerów na lojalnych Anglików.

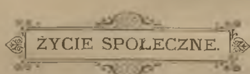
Izba niższa w Westminsterze radzi teraz nad budżetem marynarki. Minister Goschen kilka razy przemawiał, d. 26 z. m. obszerniej. Mówił o zbrojności na morzu w porównaniu z Francyą i z Rosyą, oceniał nakłady roczne i jednorazowe, zestawiał nowy wieloletni plan niemiecki z corocznymi planami angielskimi: ostatecznie Anglia nie ma się czego lękać i wychodzić ze zwykłej kolei. Żądanie lorda Wemyssa w Izbie wyższej, aby wprowadzić losowanie do milicyi— po mowach Landsdowne'a i Salisburego odrzucono. Potęgowcy lękają się służby powszechnej, ale nie przeczą, że przy niej potęga by wzrosła.

W Wiedniu d. 22 z. m. Koerber zagaił Radę państwa programatem nowego gabinetu: ukojenie sporów między narodowościami, reformy wewnętrzne, nawet z charakterem socyalistycznym, jak emerytury dla oficyalistów prywatnych, dalej wielka budowa kolei — wreszcie uchwalenie budżetu, ugody z Węgrami, rekruta. Konferencye czesko-niemieckie dają Koerberowi nadzieję, zamiast obaw. D. 23 z. m. wystąpiła już obstrukcya czeska, postanowiona przez klub, a wtórowało jej rozkładowe działanie lewicy niemieckiej, we właściwym jej stylu. Schönerer przywłaszczył sobie rolę prezesa. Socyaliści pod Daszyńskim pokazali Koerberowi, jakiego to rodzaju nadzieje w obecnej sesyi mieć mu wolno. Jeździł już do Pesztu, gdzie bawi cesarz.

Koło polskie, nie zdoławszy powstrzymać Czechów, potępiło tamowanie obrad i stając na dobrym gruncie ogólnych potrzeb państwa, któremu prawa do życia zaprzeczać nie chce, jak czynią Niemcy i socyaliści — gotowe jest poprzeć wszelkie uchwały do zaspokojenia tych potrzeb zmierzające. „Poprzeć,“ za mało: trzeba „przeprzeć.“ Art. 14 będzie rządził Austryą, ale nie z winy rządu lub Koła: odpowiedzialnymi za samowolę będą Czesi, Niemcy i socyaliści, bijący się między sobą i z rządem tak radykalnie, że aż rozburzają wszystkim wspólny dom i wkrótce już może dach jego na swych czerepach poczują.

W Berlinie napróżno Winterer, Alzatczyk, dopominał się d. 21 z. m. zniesienia paragrafu dyktatorskiego. Ks. Hohenlohe uznał go za konieczny przeciwko frankofilom. „Nie głosowaniem, ale orężem zdobyliśmy kraj: mamy więc prawo go trzymać“; do trzymania służy paragraf. Sejm cesarstwa przyznał słuszność Wintererowi; ale ją rada związkowa wyniesie wraz z uchwałą na strych.

W Rzymie burza w sejmie z powodu samowoli administracyjnej gabinetu. Pelloux *bis*.



ETYKA OBROŃCZA I JEJ SPRAWY.

Gazeta Sądowa za *Kuryerem Porannym* powtórzyła w ostatnim numerze wiadomość, że w Radomiu utworzyła się spółka adwokacka, mająca głównie na celu prowadzenie spraw oficyalistów kolejowych o odszkodowanie z powodu poniesionego na służbie kalectwa. Aby zaś pozyskać jak największą liczbę klientów, spółka owa ustanowiła na wszystkich węzłowych stacyach kolei Dąbrowskiej własnych agentów, którzy w razie jakiegokolwiek wypadku namawiają poszkodowanych do wytaczania procesów, nawet wtedy, gdy poszkodowany faktycznie pozostaje jeszcze na służbie i pobiera pensyę od kolei. Gorliwość owych werbowników dochodzi do tego, że oficyalistów chorych jeszcze, odbywających kuracyę, na swój koszt wiozą do Radomia, do owej spółki, która, przedstawiwszy poszkodowanemu wspaniały wynik procesu, otrzymuje od niego plenipotencyę, umawia się rejentalnie o honorarym i rozpoczyna sprawę, o której poszkodowany nie myśli wcale.“ Wiadomość ta, powtórzona przez organ prawniczy warszawski, zasługuje na wiarę, nie wymaga żadnego sprawdzenia i odsłania tak dalekie perspektywy, że pozwala na wypowiedzenie wniosków. *Gazeta Sądowa* czyni to, boleując nad upadkiem ideałów i moralności obrończej, który obejmując, oczywiście, tylko najniższe, znikczemniałe warstwy adwokatury, rzuca jednak złowrogie światło na cały stan palestrancki. „W obecnej dobie — woła Jeremiasz *Gazety Sądowej* — gdy nowi adwokaci wyrastają ciągle, jak grzyby po deszczu i gdy skutkiem tego konkurencya między nimi coraz to większych dosięga rozmiarów, wytworzyło się u niektórych błędne pojęcie, jakoby adwokatura była tak dobrem przedsiębiorstwem, jak prowadzenie każdego innego handlu. A że każdy hurtownik ma komiwojażerów, którzy jeżdżą z próbkami i zachwalają towar, więc za ich przykładem pewni adwokaci mają faktorów, którzy wyszukują klientów, zachwalają talent potęgowanych mecenasów. Zbyteczna chyba dowodzić, że adwokat nie jest handlarzem, a kancelarya adwokacka, to nie kram kupiecki, dokąd przechodniów namową sprasząć trzeba. I adwokaci w ten sposób postępujący, z całą otwartością ustanawiający jakieś agentury, obniżają godność obrończą.“ I dalej: „...Kto z całym cynizmem ustanawia łapaczy płatnych, z którymi dzieli się zdobytym łupem, kto adwokaturę jako handel traktuje, ten minął się z powołaniem i pióro na łokieć zamienić powinien.“

Z wysokiem uznaniem i szczerą radością powtarzamy ustęp powyższy, nie dla-

---

6)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

WIDOK 7.

Sala uroczystych przyjęć miała podłogę, sufit i ściany z grubego szkła, przez które można było widzieć wszystko, co się w niej działo. To też w przyległych komnatach stały grupy dworzan i dostojników, przypatrujących się posłuchaniu hr. Lagora u monarchy lub oczekujących na swą kolej.

Król.

Tak nam zmieszałeś, zacny hrabio, swą opowieścią radość ze smutkiem, że serce moje nie wie, jakiemu się oddać uczuciu. Wszystkie wygrane bitwy, zdobyte ziemie i przywiezione łupy, tak zwiększające bogactwo i potęgę mojego państwa, nie mogą mi jednak przeważyć straty Onta, któremu te tryumfy w znacznej mierze zawdzięczam i którego szczerze kochałem. Czy przed przybyciem do Orabu nie zdradzał jakich zamiarów, któreby nam choć trochę wytłomaczyły jego zniknięcie?

Hr. Lagor.

Bywał nieraz smutny, ale do ostatniej chwili dzielnie dowodził armią.

Król.

A czy jesteś pewien, że go ktoś nie uprowadził lub nie zabił?

Hr. Lagor.

Nie mam żadnej pod tym względem wątpliwości, bo pozostawił w swoim namiocie ten oto list do mnie.

Król.

Pokaż mi go.

Odczytuje pismo Onta.

O jakich on mówi zbrodniach?

Hr. Lagor.

Tak nazwał swoje najświetniejsze czyny wojenne.

Król.

Dziwna tajemnica.. Czy pod Orabem nie stało się nic takiego, coby mogło rozstroić umysł Onta?

Hr. Lagor.

Nie. Nawet nie zdobywaliśmy grodu, gdyż spustoszony głodem i zarazą natychmiast się poddał. Przybyła do nas córka Mirola z kilkoma strasznie wynędzniałymi mieszkańcami, która go zdała na naszą łaskę. Rzeczywiście po jej odejściu książę był bardzo rozdrażniony i prawie nieprzytomny. Widziałem, że zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Król.

Czem?

Hr. Lagor.

Naprzód jest nadziemsko piękną.

Król.

A!

Hr. Lagor.

Następnie przemawiała do niego językiem tak bolesnych wyrzutów, że Onto targał się, jak poraniony. Jest to kobieta straszna swym czarem. Jeżeli w niej przebywa szatan, niebo powinno zamknąć przed nią swe bramy, bo by się jej poddało, gdyby do niego weszła. Odtąd mam w pamięci jej niewinne a zwycięzkie spojrzenie. Słyszałem, jak prosty żołnierz, który ją widział, pytał towarzysza: czy ona z ludzi?

Król.

No, to rozświetla nieco zagadkę, chociaż jej całkiem nie rozwiązuje. Dziś jeszcze każę wysłać oddział wojska dla szukania księcia, który prawdopodobnie uległ czarom. Co do panny Mirol, to jeżeli ona ciska uroki, postawiona będzie przed sądem; jeżeli zaś jest to niewinna dziewczyna, którą nieszczęścia losu pobudziły do nieopatrznych i zuchwałych słów, to nietylko należy jej wybaczyć, ale dać opiekę. Zarządzać Orabem i być moją lenniczką nie może. W każdym więc razie polecę sprowadzić ją na nasz dwór, gdzie postaram się zastąpić jej ojca. Kochany hrabio, a od dziś jeszcze mi droższy książę Lagorze, dziękuję ci za twoją waleczność, wierność i przywiązanie do tronu. Na później odkładam inne dowody mojej wdzięczności dla ciebie. Tymczasem spiesz do twojej cnotliwej małżonki, której tak dawno nie widziałeś i która tyle łez przelała w tęsknocie, ile ty krwi w bitwach.

tego, ażebyśmy w zupełności sposób dowodzenia autora podzielali, ale dla głęboko moralnego nastroju, w jakim ton tren oskarżyciela jest trzymany.

Bieg naszego rozumowania jest nieco inny. Z kart historyi od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej płyną do nas skargi na stan obrończy. Już w dobie Reformacyi głośnem było w Niemczech przysłowie: *Juristen, bose Christen.* Hutton narzeka na rozwielmożnienie się jurystów przedajnych. Cazjusz (Zasius) piętnuje ich serwilizm, chciwość i rabulistykę. Melanchton opłakuje głupotę i niewiedzę sędziów, skutkiem czego panują w sądach rabuliści, którzy z jednego processu płodzą dziesięć innych, łupią swoich klientów, okradają miasta i wystawiają sędziów-nieuków na pośmiewisko." A Imć Pan von Ossa (zm. 1557 r.) w swoim bardzo ciekawym „Testamencie" mówi: „Gorzej zaś doskwiera to, że toleruje się po miastach i na wsi tak niezliczone szeregi nierozumnych i niedoaczonych adwokatów... Podżegają (oni) biednych a głupich łyków i włościan, jednych przeciwko drugim, sprzeciwiają się polubownemu załatwieniu sporów; mają swoich agentów, którzy chodzą po szynkach i piwiarniach, ludzi kłócą, budząc w nich niechęć do pracodawców, a następnie odsyłają do swoich mocodawców. Oto ludzie, którzy zaprawdę są jako żaby, co bez pożytku i nic więcej nie czynią, jeno skrzeczą; ale co gorsza, że one żaby wysysają wiele pieniędzy z biednych poddanych..." Jak widzimy, w dokumencie tym skarga współczesna *Gazety Sądowej* powtórzona została w dosłownem niemal brzmieniu. A jednak to już trzysta kilkadziesiąt lat minęło od chwili, kiedy ją zapisano.

Z pośród bliższych - i w czasie i przestrzeni — dowodów przytoczymy słowa T. Korzona, który w czwartym tomie swoich „Dziejów Wewnętrznych" opowiada, że „do typu patrona przyrosło oprócz obrotności języka wyobrażenie wytrwałości przy kufla, kielichu i rondlu, oraz szybkiego bogacenia się kosztem ruiny klientów" (str. 10). Nie chcemy powiększać ilości dowodów, aczkolwiek z notat naszych niejeden dałby się wypruć ciekawy, charakterystyczny fakt. Te przytoczone wyżej dokumenty, obejmujące całą niemal epokę nowoczesną — od XVI do XIX stulecia—mogą doskonale, skutecznie a sumiennie ilustrować przypuszczenie, że wydobyty na jaw symptom upadku nie jest bynajmniej odosobnionem, samo dla siebie byt swój mającem zjawiskiem. Przyczyny leżeć muszą głębiej: to nie jakiś wyskok patologiczny, nienormalny, jakiś chwast, który wyrósł z nagnanego wiatrem nasienia. I zdaje się, że je rozumiemy dobrze.

Adwokatura jest pewnym specyalnym zawodem, wymagającym nietylko pewnych specyalnych kwalifikacyj umysłowych, ale i emocyonalnych i moralnych. W galeryi typów psychologicznych są i typy zawodowe, rzecz mało dotychczas przez naukę zbadana, aczkolwiek badań godna i ciekawa. Znając naturę Sokratesa, możemy np. przypuścić, że on należał do cechu tragarzy, albo włóczęgów, ale nigdy, że był starszym cechu rzeźników lub rabinem sykofantów. I tak dalej. I dlatego też wiemy dobrze, że należenie do stanu obrończego nie czyni nikogo lepszym. Można swój umysł w kierunku potrzeb zawodowych wykształcić i zaostrzyć, uczynić go sprawniejszym, przewidującym a czynnym, ale sumienie nie stanie się bardziej wymagającem, bardziej czułem, dyapazon uczuciowości nie urośnie i nie rozszerzy się. W tem piekle nieprawdy i grzechu, niesłusznych pretensyj i wyzysku, nędzy materyalnej i moralnej, stałego „wzywania Imienia Bożego nadaremnie," niejedno skrzydło ikarowe spali się, niejeden czysty kryształ rozgotuje się, ale nie urośnie żaden więcej, żaden nowy, „jasny kwiat" duszy człowieczej. I dlatego też musi się odbywać odpowiedni dobór społeczny. Tylko jednostki stosownie usposobione mogą liczyć na powodzenie przed kratkami sądu i wobec potrzeb klientów swoich. Bo: sądowi nie chodzi i wcale nie może chodzić *w warunkach tegoczesnych* o ideał prawdy i dobra, o wymiar sprawiedliwości istotny i absolutny. Zakres jego działalności jest ujęty w żelazne karby formalizmu i prawdy formalnej. Antoni, znany powszechnie oszust, przedstawia akt, prawidłowo spisany, przeciwko Aleksandrowi:— wszyscy, całe miasto, palestra, sędziowie wiedzą najpewniej, że tu chodzi o wyłudzone pretensye, że, uwzględniając je, popełniają świadomie krzywdę — popełnić ją są obowiązani. I w odwrotnym porządku skazać muszą niewinnego, przekonani o czystości jego zamiarów, jeżeli będzie miał przeciwko sobie mniej lub więcej sprawdzone dowody. I tak dalej i tak dalej. Według żydowsko-kupieckiej klasyfikacyi — opowiada szlachcic — są trzy gatunki pszenicy: pierwsza ta, co „na pniu," druga „prosto do worka," trzecia zaś ta, „co to jej wcale niema." I tak — na złość wszystkim filozofom i moralistom — może stać się z „prawdą." Może być 1) prawda, 2) prawda formalna, i 3) ta wreszcie, której wcale niema.

Niejednokrotnie słyszeliśmy starych i zacnych obrońców, którzy twierdzili, że w cywilnym departamencie sądu niema wcale słusznych pretensyj: i powód i pozwany są „obaj lepsi" — dobrze przynajmniej, jeżeli można bardziej winnego, bardziej szkodliwego ukrócić, oszańcować go wałem przeszkód formalnych. Oto dlaczego widzimy śród ławy obrończej tak mało, a przynajmniej bardzo mało — charakterów czystych, uczciwych nie tą zdawkową uczciwością „rzetelnego kupca"—i stąd płyną owe skargi ludowe na wymiar sprawiedliwości i obrońców. I dlatego też w porównaniu z innymi zawodami, z lekarzami np., historya adwokatury ma do notowania tak mało względnie zacnych, z pokolenia w pokolenie przekazywanych, czcigodnych, promiennych nazwisk palestranckich. Zmienia się tylko tło, warunki materyalne: „juryści źli chrześcianie" — inaczej działali w XVI stuleciu, w epoce wojen chłopskich, „kiedy budzili w kmiotkach niechęć do pracodawców," inaczej za panowania burżuazyi, pary i elektryczności, kolei żelaznych, kiedy, jak w Radomiu i Warszawie, Paryżu i Berlinie — prowadzą akcye o odszkodowanie za kalectwo. W jednem z ostatnich sprawozdań inspektora fabrycznego ze Szwajcaryi czytamy skargi na działalność pokątnych doradców w zakresie ubezpieczenia robotników od wypadków i pretensyj wnoszonych z tytułu wypadków losowych przy pracy fabrycznej.

Nie chcielibyśmy, aby z nakreślonego powyżej, szczerze pesymistycznego obrazu, czytelnik wyprowadził również pesymistyczne beznadziejne wnioski. Nie malujemy się zresztą obrazów czarną farbą na tle

---

Złożywszy głęboki ukłon, Lagor oddalił się, a wkrótce po nim wszedł Baton, kanclerz państwa.

Czy to prawda, Batonie, że zaraza podeszła już do mojego progu, że coraz większe gromady głodnych i obłąkanych włóczą się po gościńcach, że chłopi wypowiadają posłuszeństwo panom?

Baton.

Wszystkie te ognie zaleje się, najjaśniejszy panie.

Król.

Kto i kiedy? Od trzech miesięcy zamykasz mi oczy tą obietnicą, a ja ciągle złe widzę. Zewnątrz pokonaliśmy najsilniejszych wrogów, a wewnątrz państwa nie możemy zwalczyć marnego głodu i moru.

Baton.

Głód i mór to straszniejsi przeciwnicy, niż dwaj zbuntowani wasale.

Król.

A żaby mówią, że najgroźniejszy jest bocian. Ludzi, takich ludzi, jak ten, co wyszedł! Czy to nie szyderstwo losu, ażebym ja, władca 50 milionów poddanych nie znalazł pomiędzy nimi kilku potrzebnych! Pływam po oceanie, a nie mogę dostać paru kropel wody...

Baton.

Najjaśniejszy panie, alboż ja i cały orszak najbliższych sług twoich stanowimy całe 50 milionów? Wola twoja może każdej chwili powołać godniejszych, którym nawet moim cieniem drogi nie przegrodzę.

Król.

Uraziłem cię... Ale, mój drogi, sam rozumiesz, że te widma trzeba co prędzej odpędzić. One przyćmiewają blask mojej korony, one mnie straszą po dniach i nocach, one wreszcie nam zmącą pogodę uroczystości, do których się gotujemy.

Baton.

Prawda, miłościwy panie. Daj mi takie siły, jakiemi rozporządzali twoi wodzowie w wojnie, a ja również szybko stłumię rozruchy.

Król.

Chcesz wojska?

Baton.

Tak.

Król.

Weź choćby wszystko. Teraz jest wolne. Jak go zamierzasz użyć?

Baton.

Wytnę te wrzody, które się potworzyły na ciele narodu i przyniosę mu zdrowie.

Król.

Znowu krew... i to swoja.

Baton.

Nie ma czego żałować, bo to źródło nigdy nie wyschnie, a przez częste upuszczanie tylko się oczyszcza. Zresztą najmocniej są zbudowane państwa z cegieł, spajanych krwią.

Król.

Być może... masz słuszność, ale po co to mówisz? Okrutna myśl jest to zwierzę drapieżne, zamknięte w klatce, a okrutne słowo jest to zwierzę wypuszczone z klatki.

Baton.

Czemże jest w taki razie okrutny czyn, który ja spełnić muszę?

Król.

Jeśli go nie spełnisz rycząc, jak tygrys, będzie dziełem surowego, ale sprawiedliwego człowieka. Wiesz, że jesteś bardzo nienawidzonym, a według mnie nie dlatego, że srogo postępujesz, ale dlatego, że strasznie ryczysz. Nie krzycz: krew, rzeź, kaźń! — a zobaczysz, jak spokojnie umierać będą ludzie pod twoją ręką. Kto ma w pochwie ostry miecz, powinien mieć w ustach tępy język, ażeby nim bez potrzeby nie ranił zarówno tych, których napomina, jak tych, których zabija. Więc, kochany Batonie, połóż na winnych mocną rękę, ale nie wysuwaj z niej pazurów. Uderzaj cicho, jak strzała przeze mnie wypuszczona z łuku. Pamiętaj zawsze, że pragnę spokoju dla siebie i dla państwa.

Baton.

Zastosuję się do twej woli, najjaśniejszy panie.

Król.

Będę ci za to wdzięcznym. Wyrwij najdrobniejsze i najgłębsze korzenie buntu, zniszcz najmniejsze jego zarodki, jak susza, oczyść niebo mojego państwa z najlżejszych chmur, jak wiatr, ale bez grzmotów i piorunów. Burzy nie znoszę, nie chcę...

Baton.

Rozumiem i usłucham.

Król.

Szczegółowych rozkazów ci nie daję, bo sam w każdym wypadku życzenia moje odgadniesz. Uwiadomię tylko Lagora, żeby ci dostarczył żądanej ilości wojska.

czarnem. I tu przechodzą smugi światła słonecznego, jaśnieją czyste czyny działalności człowieczej, społecznej i obywatelskiej. Że tak jest, dowodzi istnienie świadomości złego, która wywołuje stałe narzekania na kolegów nieuczciwych, kalających swoje gniazdo.

Nie na tem jednak powinno się kończyć. Anglik mądrze mówi, że gdzie jest myśl, tam jest i wola. Nie trzeba wielkich przewrotowych przeobrażeń społecznych, ażeby grzędę jedną i drugą z perzu oczyścić. trzeba tylko wytrwale a odważnie chwasty te niszczyć, włókienka ich z gruntu wydobywać, grzędę często rozkopywać i odwracać; nie trzeba tylko gnuśnieć w lenistwie i być wyznawcą sceptycznego *je m'en fiche* Renana. Wytrwały a mądry ogrodnik bez zbrojnej pomocy sąsiadów zbiera i pali liszki na drzewach i toczy wojnę z podjadkami. Samopomoc społeczna, rozrządza doskonałym środkiem do zwalczenia drobnych i większych nikczemności społecznych i towarzyskich: *infamią*. Często słyszymy w towarzystwie, na ulicy, na zebraniu publicznem: temu panu nie podaje *się* ręki. Nie podaje *się*, ale ludzie, przedewszystkiem koledzy, podają. To bardzo smutne! Bo jeżeli w stadzie znajdzie się owca parszywa, jeśli kto zdradził przysięgę, opluł sztandar — to należy odmieńca usunąć, odpowiednim znakiem przystroić, tak, aby istotnie i niewtajemniczeni odróżnić potrafili plewę od ziarna, bohatera od łotrzyka, towarzysza od zdrajcy. A jeżeli się tego nie czyni, to rzecz prosta ci, co stoją na uboczu, do cechu nie należą, basel frakcyjnych nie znają — gotowi myśleć, że z postępowaniem zdemoralizowanych jednostek solidaryzuje się stan cały. Jeżeli nie ma być pokątnych doradców, to nie powinni ich popierać obrońcy jawnie albo tajemnie. Nietylko te ręce plamią gniazdo palestranckie, które w zapadłej prowincyi, po karczmach i jaskiniach wszelkiego brudu społecznego mieszają i rozdmuchują żarzące się węgle niezgody i niecnoty, ale i te, które z tych rąk właśnie sprawy „formalnie“ jasne, zdawkowo „porządne“ przyjmują i po sądach je popierają. Na to się zgodzić musi każdy umysł, który przywykł do logicznego rozumowania, do logicznej, ale nie do sofistycznej, wykrętnej dyalektyki: pod tym werdyktem podpisze się każde sumienie, z którego nie wypłukały jeszcze wyraźnych kształtów mętne wody podwójnej buchalteryi oportunistycznej.

Stajnie Augiaszowe trzeba wymieść. Rękawiczki wszelkich kompromisów i konwenansów należy z rąk zrzucić i ująć mocno w dłonie bezlitosną miotłę Herkulesa. Może wtedy mniej będzie „kolegów,“ nie udadzą się tak „doskonale“ różnorakie bale, pikniki i rauty. Straci reprezentacya stanu, ale zmężnieje jego sumienie, przemówi jego sokratesowe dajmonion, odezwie się czystym dźwiękiem spiżowy dzwon prawdy i prawa.

PARANA.

I.

Przed kilku laty szerząca się u nas gwałtownie epidemia emigracyjna wywołała śród inteligencyi dążność do przeciwdziałania temu zjawisku. Postanowiono więc przedewszystkiem zbadać położenie wychodźców na miejscu i w tym celu wysłano różnych delegatów. Najpierw pojechał przedstawiciel *Kuryera Warszawskiego*, Dygasiński, którego pobyt kilkotygodniowy w Brazylii dał temat do obrazowo pisanych korespondencyj — z lotu ptaka i do powieści tendencyjnej p. t. „Na złamanie karku.“ Następnie, również *na kilka tygodni* pojechali ks. Chełmicki i p. Glinka, których zadaniem było sprowadzenie kilkuset najnieszczęśliwszych ofiar — na postrach dla ludności pozostałej w kraju. Ks. Chełmicki potrafił z *kilkudniowych* spostrzeżeń w Curitibie stworzyć „dzieło,“ a p. Glinka całą swoją misyę sprowadził do krótkiego pobytu w okolicach Rio de Janeiro. Takie „badania“ oczywiście nie przyniosły żadnego rezultatu, gdyż nie zgłębiły przyczyn ani socyologicznych, ani społecznych, nie dały materyału do oceny ruchu emigracyjnego i położenia wychodźców. To też owi autorowie - podróżnicy zdobyli się tylko na wnioski powierzchowne, żądające bezwarunkowego powstrzymania tej fali żywiołowej, która, ich zdaniem, powstała jedynie z agitacyi sztucznej.

Wielka gorączka emigracyjna w Królestwie Polskiem osłabła (co niektórzy przypisują listom i książkom naszych delegatów). Z Galicyi jednak polska ludność włościańska ciągle jeszcze wędruje tłumnie za Ocean. To doniosłe zjawisko, jako zależne od głębokich czynników społecznych, wywołało dążność zapobiegawczą innej natury. Przedewszystkiem postanowiono zbadać nietylko tajną organizacyę ruchu przesiedleńczego, ale i warunki kolonizacyi w Brazylii. Przyjęto przy tem zasadę: nie tamować, lecz tylko regulować emigracyę, walka bowiem z ruchem żywiołowym jest nad siły wszelkich zarządzeń dorywczych i tymczasowych. Praca ludzka ulega potężnym prawom ekonomicznym: podaży i popytowi. Wstrzymanie więc tego ruchu równałoby się zatamowaniu wód rzecznych, zbiegających do morza. Zasadą takiego właśnie determinizmu rządzą się obecnie najnowsze organizacye zaradcze. Mianowicie w Galicyi powstało „Polskie Towarzystwo handlowo-geograficzne,“ które ma dużo zapału i dobrych chęci, ale mało środków materyalnych. Robi jednak, co może; szczególniej zaś rozwinęło dział emigracyjny, którego zadaniem jest opieka nad tłumnem wychodźtwem polskiem w kraju i zagranicą. Wkrótce potem powstała „filia lwowska austryackiej filii Towarzystwa imienia św. Rafała do opieki nad wychodźcami niemiecko-katolickimi,“ (główny zarząd tej instytucyi mieści się w Berlinie). Organizacya ta jednak zawiodła zupełnie oczekiwania, gdyż członkowie jej, nieobeznani ze sprawą, nie mogli udzielić żadnych informacyj tłumom emigrantów. Dopiero po porozumieniu z polskiem Towarzystwem handlowo - geograficznem działalność filii lwowskiej weszła na właściwsze tory, o tyle przynajmniej, że za pomocą dr. Józefa Siemiradzkiego zbadano we Włoszech pokątne drogi emigracyi galicyjskiej. Towarzystwo św. Rafała nie było jednak wolne od błędów w dalszym ciągu („objęcie zupełnie niewłaściwej funkcyi biura spedycyjnego emigrantów“ jak zaznacza prof. Siemiradzki).

Jednocześnie z rozwojem powyższych środków zaradczych sprawa emigracyi sta-

---

Baton.

Czy hrabia Lagor...

Król.

Od dziś książę...

Baton.

Czy książę Lagor objął naczelne dowództwo?

Król.

Tak. Onto przepadł w jakiś tajemniczy sposób. Miej i ty na uwadze odnalezienie jego śladów.

Baton.

Dziwne zdarzenie.

Król.

Nie powinno ono zbyt długo być dla nas zagadką. W przeciwnym razie naród, który go uwielbiał, zacznie się przypatrywać moim rękom, czy na nich śladów jego krwi nie dostrzeże.

Baton.

Przecież wszystkim wiadomo, najjaśniejszy panie, żeś go darzył swą szczególną łaską.

Król.

Tak, ale przekonanie tłumu nie jest rzeką, która ciągle w jednym kierunku płynie. A ja nie chcę, żeby nawet potwarz rzucała go w moje sumienie. Gdyby ze środka ziemi przebił się do moich uszu szept, żem winien śmierci największego z naszych wodzów, który swojemi zwycięztwami dał berłu mojemu potęgę, nie zasnąłbym wcześniej, niż w grobie. Ja go muszę odnaleźć, chybaby go bóg żywcem wziął do nieba. Bez niego mój tron będzie ciągle drżał, wstrząsany przez wasalów.

Baton.

Odszukamy go, najjaśniejszy panie, chociażbym nawet miał rozkrajać milion serc dla znalezienia jednego, w którem się skryła tajemnica.

Król.

Znowu ci z ust krew cieknie. Powtarzam: przelej surowość ze słów w czyny.

Baton.

To moje ostatnie zapomnienie.

Król.

Żegnam cię i nie chcę widzieć wcześniej, aż będziesz mi mógł przynieść wiadomość, że w Algocie wszyscy są zadowoleni i zdrowi.

Złamawszy się w kornym ukłonie przed monarchą, natychmiast wyprostował się w dumie z otrzymanej od niego władzy i wyszedł uśmiechnięty okrucieństwem. Cicho, miękko wsunął się prezes Trybunału Sumienia — Dolor.

Król.

Dzień dobry.

Dolor.

Dowiedziałem się, że bardzo dobry i przychodzę wyrazić moją radość.

Król.

Tak, wojna skończona, nieposłuszni wasale pokonani, cztery prowincye zdobyte. Ale z wesołą nowiną przyszedł smutek: sprawca tych zwycięztw, Onto, zniknął.

Dolor.

Niewątpliwie tkwi w tej zagadce jakaś nieczysta siła.

Król.

Nikt jej nie wytropi lepiej, niż wasza dostojność. Lagor twierdzi, że Onto nagle zmienił się po zajęciu Orabu.

Dolor.

Znam to gniazdo odszczepieństwa. Na tamtejszych górach djabły z czarownicami miewają schadzki i wyprawiają sobie uczty. Szczęściem stary grzesznik, Mirol, umarł.

Król.

Ale pozostawił córkę, która dalej krzewi bluźnierstwa ojca z większym jeszcze, niż on, fanatyzmem. Podobno liczba jej wyznawców rozszerza się przerażająco. Lagor mi mówił, że to kobieta bardzo niebezpieczna, kapłanka piekła.

Dolor.

Sprowadzimy ją i poddamy torturom.

Król.

Wstępne badanie pozostawcie mnie. Sam sprawdzę pogłoski, które mogą być mylne. Ród Mirolów jest stary i szanowany, nie chciałbym przytem zbytnią surowością jątrzyć świeżo przyłączonej ludności, która ma być do swej pani bardzo przywiązana. Dopiero gdyby się okazało, że jest rzeczywiście opętaną, oddam ją wam.

Dolor.

Szkoda twojego trudu, najjaśniejszy panie. My posiadamy wyborowe sposoby wykrycia prawdy.

Król.

Ale też macie dużo roboty, w której chcę wam chociaż troszeczkę ulżyć. Ilu jest obecnie kacerzy uwięzionych?

ła się przedmiotem badań poważnych. D. 7 lutego 1895 r. sejm krajowy, na wniosek posła Merunowicza uchwalił bardzo ważną rezolucyę, w której między innemi wyłuszczono następujące zadania: Rozciągnąć opiekę nad wychodźcami, ażeby ich ochronić od wyzysku agentów emigracyjnych i prądem wychodźczym kierować według należycie obmyślanego planu, z korzyścią dla emigrantów i kraju. Zorganizować stałe stosunki pomiędzy koloniami a krajem, przedewszystkiem w zakresie handlowym itd. Uchwały sejmu galicyjskiego, niestety, pozostały dotąd w znacznej części niewykonane. Tymczasem Towarzystwo handlowo - geograficzne przeprowadziło na własną rękę rokowania z rządem austryacko - węgierskim o zapewnienie wychodźcom galicyjskim odpowiedniej opieki konsularnej. Dzięki tym zabiegom, r. 1896 otwarto w Curitybie zawodowy konsulat austryacko - węgierski z całkowitym personelem polskim, a nadto hr. A. Gołuchowski zamianował w Genui i w Rio-Janeiro wice - konsulów, władających językiem polskim, z zastrzeżeniem, iż konsulaty te przedewszystkiem powinny się zajmować opieką nad wychodźcami polskimi.

Nadto, galicyjski Wydział krajowy wysłał prof. Siemiradzkiego (wraz z ks. Wołańskim, delegatem Rusnów) do kolonij dla zbadania ich stanu i przedstawienia odpowiednich wniosków. Jakoż przekonaliśmy się, że z dotychczasowych badań na gruncie praca prof. Siemiradzkiego była najrzetelniejszą i najowocniejszą. Po powrocie do kraju delegat złożył sejmowi galicyjskiemu sprawozdanie urzędowe, a obecnie zamieścił w *Bibliotece Warszawskiej* (zeszyt styczniowy r. b.) bardzo ciekawą pracę, z której czerpiemy szczegóły o położenie kolonistów polskich w Brazylii.

W ciągu ostatnich lat kilku lud polski opanował płaskowzgórze stanów Parana i St. Catharina, prawie bezludny przedtem. Szczególnie zaś Parana jest punktem ciążenia emigracyi polskiej i dlatego też zasługuje ona na największą uwagę. Geografowie brazylijscy wyróżniają trzy pasy klimatyczne: gorący, umiarkowany i zimny (równikowy, podzwrotnikowy i umiarkowanie ciepły). Strefa trzecia, umiarkowana, odpowiada klimatowi Europy południowej i części Algieru. Jest to strefa zbóż europejskich, którą dr. Siemiradzki dzieli na dwie części: W cieplejszej dochodzi ryż i górska odmiana trzciny cukrowej, w zimniejszej — żyto, pszenica, jęczmień, tatarka, kukurydza, tytuń, wino itd. Strefa ta obejmuje cały stan Parana — z wyjątkiem gorącej doliny Paranapanemy i górnej Parany, tudzież wązkiej smugi pomorza — północną część stanu Rio Grande do Sul, aż po linię kolei z Porto Allegro do Uruguayana, pasma górskie w południowej części tego stanu, oraz górską zachodnią część stanu St. Catharina. (Tutaj należą również pasma górskie w stanach S. Paulo i Minas Geraes powyżej 1,200 metrów nad poziom morza).

Otóż dla wychodźców naszych jedynie owa strefa umiarkowana posiada odpowiednie warunki klimatu i gleby. Zanim atoli znaleźli oni tę krainę, posiali mnóstwo ofiar na ziemi brazylijskiej; legły na niej w grobie całe rodziny. Setki ludzi stały się pastwą wyzysku, chorób śmiertelnych, głodu i nędzy. Masy niezaradne, ciemne, niedołężne, wyginęły doszczętnie lub pomnożyły szeregi najnieszczęśliwszych tułaczów, żebraków i niewolników przedsiębiorstw wszelakich. Żywioł dzielniejszy i oporniejszy przetrwał wszystkie klęski, wyrobił sobie na obczyźnie energię, niezależność i nawet wygodny byt materyalny. Warto mu się przyjrzeć bliżej.

Prof. Siemiradzki, zaczynając przegląd kolonij polskich w Brazylii od północy, znajduje w stanie S. Paulo jedną tylko osadę polską w górach Serra do Mar, w okręgu San Bernardo, pomiędzy Santos i S. Paulo. Jest to mianowicie Rio Pequeno i Capivary. Okolica cała porosła dziewiczym lasem, którego eksploatacya stanowi główny zarobek osiedlonych tam kolonistów polskich (urzędowy wykaz z r. 1895 podaje ich na 594). Z wyjątkiem czternastu Litwinów tudzież kilkunastu rodzin galicyjskich, wszyscy pochodzą z Królestwa Polskiego. Prócz tej kolonii Polacy są jeszcze w stolicy stanu podobno około 2,000. Pracują oni w fabrykach i warsztatach. W głębi kraju na plantacyach kawowych nie utrzymali się wcale, pomimo dobrych zarobków. Dopiero po upływie kilku lat zaczynają pozbywać wstrętu do tej pracy. Idą tedy na zarobki, ale do wielkich plantatorów, gdyż mali bankrutują i nie płacą robotnikom.

Ogniskiem osadnictwa polskiego w Brazylii, jak rzekliśmy, jest Parana. Stan ten pod względem przestrzeni prawie dorównywa Włochom. W r. 1888 liczono tam tylko 187,548 mieszkańców. Masowy napływ wychodźców polskich prawie podwoił tę cyfrę. Ściśle nie można określić liczby Polaków, skutkiem wielkiej gmatwaniny danych urzędowych, nie wyróżniających narodowości. Według tego źródła, osadników polskich w Paranie jest obecnie 52,000; według zaś przypuszczalnych obliczeń prof. Siemiradzkiego, 70—80,000.

Ciekawy jest bardzo i charakterystyczny system kolonizacyi rządu brazylijskiego. Wytknąwszy na mapie linie, odpowiadające bądź rzekom spławnym, bądź projektowanej sieci kolei żelaznych i dróg kołowych, osiedla on emigrantów na tych liniach, które się wrzynają coraz głębiej w lasy. Co kilka mil tworzą się na linii głównej punkty węzłowe — zawiązki miast. Z tych punktów znowu takie same linie proste, osadzone kolonistami, biegną promienisto w głąb lasów, aż do połączenia z liniami kolonizacyjnemi osad przyległych. Sposób ten zasadniczo się różni od systemu północno-amerykańskich koncesyj kolejowych, gdzie najpierw budują kolej, a następnie osiedlają kolonistów. W Paranie dopiero po zaludnieniu okolic powstają środki komunikacyjne. Tam, gdzie były ścieżki dla mułów, przebiegają pociągi, gdzie pływały łodzie wiosłowe, krążą parowce holownicze i osobowe.

Dzięki temu systemowi, sieć kolejowa w Paranie (około 600 wiorst), opanowywa stopniowo coraz większe obszary lasów dziewiczych, a wielka posiadłość prywatna szybko znika skutkiem parcelacyi, dokonywanej przez samych właścicieli lub drobne przedsiębiorstwa kolonizacyjne. Materyałem osadniczym są tam dziś wyłącznie Polacy i Rusini galicyjscy; dawniejsi zaś koloniści, Włosi i Niemcy nadwołżańscy, przenoszą się do miast lub stanów sąsiednich „nie mogąc — jak powiada prof. Siemiradzki — wytrzymać na roli konkurencyi z tak łakomym na ziemię żywiołem, jakim jest chłop polski.“

Zen. Piet.

Dolor.

Blizko trzystu.

Król.

Zdaje mi się, że z wziętych do niewoli i przywiezionych wasalów wybierzecie sobie jeszcze kilku. Zwłaszcza jest między nimi trzech, bardzo krnąbrnych, niewątpliwie spokrewnionych z dyabłem. Ilu już osądziliście?

Dolor.

Na śmierć?

Król.

Na ofiarę bogu.

Dolor.

Co najmniej musi zginąć dwustu.

Król.

Oj, czy nie za wiele.

Dolor.

Dla mnie za wiele nawet jeden. Czyż ja chciałbym mnożyć wyrodne dzieci boga? Ale skoro są, musimy wytępić wszystkich odszczepieńców, chociażby na całej ziemi miało pozostać tylko nas trzech: ja, arcykapła i ty, najjaśniejszy panie.

Król.

Czy wszystkich skazanych zatrzymacie do przyjazdu jego świątobliwości?

Dolor.

Mniemam, że spalenie liczniejszego zastępu niewiernych wobec arcykapłana podniosłoby urok twojej żarliwości religijnej, miłościwy panie. A zamierzona koronacya na cesarza byłaby tym obrzędem uświetniona.

Król.

Jeśli to koniecznie potrzebne, muszę się zgodzić, chociaż słabe zdrowie każe mi unikać silnych wzruszeń.

Dolor.

Ono cię wzmocni jeszcze widokiem sprawiedliwej kary na zbrodniarzów.

Król.

Dałby bóg... bo to dla jego chwały. Tak, tak... Radbym być mniej wrażliwym... Ale trudno... Kto pierwszy w sprawowaniu władzy, powinien być również pierwszym w spełnianiu obowiązków...

Dolor.

Tak jest, miłościwy panie. Czy już niczego nie masz mi do rozkazania?

Król.

Nic, tylko wyproś mi u boga więcej zdrowia.

Dolor.

Modlę się za nie codzień.

Król.

O coś jeszcze chciałem zapytać... Zapomniałem... A... jak się przedstawia sprawa Ryta?

Dolor.

Nikczemnik! Umknął.

Król.

Kiedy?

Dolor.

Dziś rano odebrał sobie życie.

Król.

Zatem był winien...

Dolor.

Jeszcze raz przed śmiercią skłamał i napisał na ścianie więzienia krwią: jestem niewinny, ale wiem, że śmierć moja jest potrzebna królowi.

Król.

Oszalał.

Dolor.

Polecam się łasce waszej, najjaśniejszy panie.

Wyszedł. Twarz króla wyrażała wielkie znużenie, chociaż oczy migotały niepokojem. Na chwilę wpadł on w zadumę, ale otrząsnął się i dla odpędzenia natrętnych myśli utkwił wzrok w leżącym na stole papierze. Jak gdyby chwycił coś, czego szukał, a przynajmniej potrzebował, rzekł do stojącego przy drzwiach pokojowca:

Król.

Niech wejdzie minister zabaw publicznych.

Król uderzał niecierpliwie palcami po stole, a gdy się zjawił uśmiechnięty dworsko minister, krzyknął ku niemu:

W cyrku chór psów wyje marsz żałobny, w teatrze grają dramat, którego bohater zabija się z głodu, w gazetach opisy zarazy, na maskaradzie występuje śmierć z kosą — czy ty chcesz przygotowywać ludzi do dnia sądnego? Od dziś będziesz dozorcą cmentarzów.

Groźny, drżący z gniewu na przerażonego dworaka, oddalił się z sali.

(C. d. n.)

KOLONIE WIEJSKIE DLA OBŁĄKANYCH.

W roku ubiegłym pisma warszawskie, a szczególnie *Prawda*, kilkakrotnie poruszały sprawę szpitali i domów dla obłąkanych. Zakładów dla chorych na umyśle posiadamy bardzo mało. Otóż pożądane byłoby nietylko zwiększenie ich liczby, ale nadto wprowadzenie kolonij wiejskich dla spokojnych obłąkanych. Powstały one w Europie zachodniej, zwłaszcza podczas ostatniego dziesięciolecia i mają wielkie znaczenie praktyczne. W Belgii, Anglii, Niemczech i Francyi uznano je za wysoce pożyteczne.

Nie wszyscy dotknięci obłędem wymagają niezbędnie odosobnienia. Owszem, dla pewnej ich części styczność z ludźmi zdrowymi może być zbawienna. Rozumie się, że ta grupa musi odpowiadać pewnym warunkom (choroba powinna być spokojna). Ale skoro warunki te istnieją, można umieszczać chorych w rodzinach. Zaleca się to i ze względów materyalnych: utrzymanie chorego kosztuje w tym razie mniej, niż w zakładzie specyalnym. Chorzy, otoczeni osobami, niedrażniącemi ich, zaczynają powoli zajmować się życiem zewnętrznem i po pewnym czasie biorą w niem coraz widoczniejszy udział. To rozrywa ich myśli; swoboda działa również skutecznie na nich i może się przyczynić do wyzdrowienia chociaż częściowego.

Najdawniejsza w Europie kolonia taka jest w miasteczku belgijskiem, Gheel. Niektórzy wyprowadzają jej początek jeszcze z siódmego stulecia. Chorzy na umyśle przybywali tu do kościoła w dzień jego patronki, świętej Dymfny, i jeśli przy pomocy księży i świętej nie odzyskali zdrowia natychmiast, umieszczano ich w jakiejś rodzinie wiejskiej aż do roku następnego. Podanie to jest wielce prawdopodobnem, bo w istocie przez długie stulecia niektóre kościoły chrześciańskie grały rolę greckich świątyń Eskulapa i stanowiły nawet do pewnego stopnia lecznice. Podobnie więc i tu kler mógł przekształcać na rozległy dom zdrowia osadę, położoną koło kościoła, słynącego z uzdrowień. Bądź co bądź, Gheel posiadał swe cechy od kilkuset lat. W r. 1840 liczono tu 717 chorych. Cyfra ta urosła potem bardzo znacznie, w 1894 dyrektor kolonii, dr. Peters *), podaje ją na 1,875; 1,005 chorych było płci męzkiej, 870 żeńskiej.

Ponieważ Gheel znajduje się w flamandzkiej części kraju, więc chorzy, mówiący po francusku, czuli się tu zbyt osamotnionymi. Z tej przyczyny założono w r. 1884 nową kolonię dla obłąkanych w Lierneux koło Liege. Lud mówi narzeczem walońskiem, zbliżonem do języka francuskiego. W czerwcu 1884 roku było w Lierneux 392 chorych: 265 mężczyzn, 167 kobiet.

Za przykładem Belgii poszły Niemcy i ziemie anglo-saskie. W r. 1892 kolonia w Dalldorf pod Berlinem liczyła 339 chorych **). Takie same kolonie istnieją w Szkocyi, w Stanach Zjednoczonych—zwłaszcza w Massachussets i w Wisconsin — a nawet w Australii. Wszystkie one są podobne do siebie. To też opis kolonij dla obłąkanych we Francyi, który dam poniżej, wykaże najwybitniejsze ich cechy.

Sprawę ich założenia poruszono we Francyi 1887 r. Kilka artykułów, traktujących o nich, pojawiło się wówczas i później w *Revue scientifique*, ale właściwie dopiero 1891 r. rada departamentu Sekwany wyznaczyła komisyę do zbadania kwestyi. Poglądy jej były przychylne, wskutek czego w r. 1892 założono w Dun-sur-Auron (Cher) pierwszą kolonię dla chorych na umysle. Kierownictwo oddano doktorowi Marie. Zachęcony powodzeniem swoich prób, dążył on potem śmielej naprzód. Dziś kolonia jest instytucyą poważną. Dotychczas korzystają z niej tylko kobiety. Na miejscu poddane są ponownym obserwacyom. Kilka dni pobytu w głównym zakładzie miejscowym stanowi o przyjęciu do kolonii. Gdy choroba jest spokojna, lekarz przystępuje do umieszczenia chorej.

Dun-sur-Auron jest wioską podupadłą, w której niegdyś kwitł przemysł domowy, ale dziś, niestety, zanikł zupełnie skutkiem współzawodnictwa fabrycznego. Ludność więc skwapliwie skorzystała ze sposobności poprawienia swego bytu w inny sposób. Każdy wieśniak przyjmuje jedną chorą lub więcej; te odwiedzają się wzajemnie i nie stronią od nowoprzybyłych. To też zazwyczaj nowe zostają w głównym zakładzie nietylko dla obserwacyi, ale i dla zapoznania się tymczasem z dawniej zamieszkałemi we wsi i wybrania sobie towarzyszek drogą sympatyi. Gdy później stan ich poprawi się trochę i chore zechcą zmienić mieszkanie, nie znajdują pod tym względem żadnych przeszkód. Żyją w rodzinach włościańskich, otoczone, rozumie się, stałą opieką lekarza.

Peters podaje ilość uleczeń w Gheel na 20% rocznie. Co do Dun, doktór Marie notuje wynik pomyślny.

Wielka liczba chorych — mówi on — poczytywanych od lat kilku za nieuleczalnych, doszła do lepszego stanu zdrowia. Nawet kilka tygodni pobytu w rodzinie wystarczyło do zainteresowania się otoczeniem. Zaczynają oni brać udział w rozmowach i przyswajają sobie nieco wiadomości elementarnych, dozwalających im przystosować się do normalnego bytu społecznego. Rodzą się jakieś przebłyski wspomnień z czasów przed chorobą, które zwyczaj zanikają w domu obłąkanych.

Bardzo charakterystyczny przykład zbudzenia się pewnej świadomości w umysłach chorych przytacza literat francuski, Jerzy Montorgueil, który w dzienniku *Eclair* z d. 26 listopada 1899 r. ogłosił swoje wrażenia z Dun-sur-Auron: Wchodzimy do skromnego domku. Staruszka, owinięta kołdrami, kaszle, pluje. Sprawia bolesne wrażenie bezkształtnej masy, powalonej na łoże. Inna kobieta, młodsza, krząta się przy niej skwapliwie, podaje lekarzowi wiadomości o stanie chorej podczas nocy ubiegłej. Chora spała niespokojnie i sprawozdawczyni musiała część nocy spędzić przy niej.

Macie, doktorze — powiadam do lekarza — włościankę, gorliwie oddaną waszej pacyentce.

Lekarz uśmiechnął się. Tu role zmieniły się — odrzekł. — Chorą jest właśnie włościanka, a ta, co ją pielęgnuje, to obłąkana. Szczere przywiązanie połączyło te dwie kobiety, a jak pan widzisz, młodsza musiała odzyskać dość sił umysłowych, skoro może pielęgnować."

Towarzysz doktora Marie, dr. Vigouroux, kreśli również bardzo dodatni obraz: Wielka swoboda, dana chorym, usposabia je bardzo dobrze. Wstają, kiedy chcą, niema dozorczyni, która wygania z łóżka. Jedzą w towarzystwie, nie widzą około siebie groźnych ścian celki. Czują życzliwość. W rodzinie własnej oczekiwanoby z upragnieniem ich śmierci. Tu, przeciwnie, wieśniacy pielęgnują je i troszczą się o nie. Oczywiście głównym bodźcem są tu względy materyalne. Zresztą, jak widzieliśmy wyżej, stosunki przybierają często charakter prawdziwie serdeczny. Znika przeto apatya chorych, rodzi się chęć do pracy, za którą pobierają pewne wynagrodzenie. Lekarz odwiedza je kilka razy na tydzień, a wszelkie słuszne skargi są uwzględniane.

Kolonia, prowadzona przez doktora Marie, zwróciła na siebie powszechną uwagę. Zwiększyła się znacznie, obecnie zaś rada departamentu Sekwany zamierza urządzić na jej wzór kolonię rodzinną dla obłąkanych mężczyzn w Chalivoy przy Dun-sur-Auron, kolonię rolną w departamencie Cher dla epileptyków i kretynów dorosłych, wreszcie kolonię rodzinną dla obłąkanych nieuleczalnych we wsi Aunay le Chateau w departamencie Sekwany.

W Anglii istnieje system „drzwi otwartych" (*open door*). Stanowi on przejście do kolonij wiejskich i ma przed sobą także wielką przyszłość. Różni się tem od kolonij, że zakład jest mieszkaniem dla chorych. Ale jeśli tylko stan zdrowia im pozwala, mogą wychodzić. Dwa lata temu rada departamentu Sekwany wysyłała do Anglii i Szkocyi prezydenta swego, Emila Dubois, nadto naczelnika oddziału obłąkanych w prefekturze paryskiej, Pelletiera, i dwóch lekarzy, Pawła Brousse'a i Edwarda Toulouse'a, dla wystudyowania na miejscu systemu *open door*. Rzeczoznawcy francuscy wrócili z przekonaniem, że metoda ta jest ze wszech miar godna rozpowszechnienia we Francyi.

Za przykładem Anglii zalecają podział obłąkanych na trzy grupy. Pierwszą stanowiliby chorzy na wyleczeniu, niezrównoważeni albo ulegający niegroźnym halucynacyom. Ci mogliby wychodzić w każdej chwili na podwórze i do parku zakładowego. Głównie z nich rekrutowałaby się druga grupa, której wolno byłoby wychodzić nawet na ulicę. Trzecią odosobniłoby się od reszty chorych; ale i tu należy zalecić jak najrzadsze używanie środków przymusowych.

System „drzwi otwartych" stosuje już od lat kilku doktór Christian w swoim domu zdrowia w Charenton i dr. Marandon de Montyel w przytułku w Ville Evrard. Pierwszy jest prywatny, drugi utrzymywany kosztem państwa.

W *La France medicale* dr. Marandon de Montyel opowiada o nim szczegóły następujące. Samo urządzenie przytułku w Ville Evrard sprzyjało mojej metodzie. Otoczony niewysokim murem, posiada wiele przestrzeni zadrzewionej, duży ogród i kawał pola; wyróżnia się od innych przytułków. Chorzy mają dosyć miejsca na przechadzki, skoro chcą, mogą pracować w ogrodzie. Pod okiem zaledwie kilku dozorców, niczem nie są krępowani. Od dziesięciu lat staram się zapewnić im jak największą wolność i chociaż 50—60 na stu cieszy się tym przywilejem, nie miałem żadnego wypadku. A zakład mój liczy siedmiuset obłąkanych i roczny ruch dochodzi do tysiąca. Pracują, o ile na to stan umysłowy pozwala. Część ich ma zajęcie na farmach pod opieką wieśniaków; wracają do zakładu pokrzepieni na ciele i umyśle. Inni przechadzają się i żyją zwykłym trybem. Krewni i przyjaciele odwiedzają ich kiedy chcą i zostają z nimi; mogą także jeść razem. Swoboda odwiedzania zwiększa pracę lekarza zakładowego. Można jednak temu zaradzić przez zwiększenie liczby lekarzy. Co do obawy obżarstwa, niestrawności lub pijaństwa, odpowiednia kontrola przedmiotów przynoszonych zapobiega temu zupełnie. Niekiedy krewni biorą na jakiś czas chorych do siebie, z ostrzeżeniem, że gdy zechcą, odwieźć ich do zakładu, znajdą w nim zawsze miejsce. Od dziesięciu lat w każdą niedzielę i każde święto jedna trzecia chorych zakładu (zatem przeszło 200) wyjeżdża z rodziną na wycieczki w okolice; nigdy jednak z tego powodu mieszkańcy sąsiedni nie zaznali przykrości, nigdy nie było wypadków nieszczęśliwych. Wszyscy chorzy mają bezwzględną swobodę pisania i nie ulegają żadnym karom.

Dwa systemy opisane uzupełniają się wzajemnie. Oba umożliwiają wyleczenie. Dzięki zaś temu szpital może rozporządzać

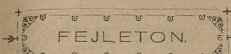
*) Peters: *La situation actuelle de la colonie de Gheel* (*Bulletin de la société de medicine mentale de Belgique*, wrzesień, 1894).

**) A. Bothe: *Die familiale Verpflegung Geisterkranker der Stadt Berlin zu Dalldorf 1885—1893.*

większą ilością miejsc. A gdy chory potrzebuje tylko częściowo opieki lekarskiej, lekarz francuski ma do rozporządzenia kolonię wiejską, której koszt jest znacznie mniejszy: według Férégo *) nie wynosi on nigdy trzech tysięcy franków, tj. sumy, którą wyznacza „Assistance publique“ przeciętnie na utrzymanie jednego obłąkanego w domu zdrowia. Równocześnie zaś ten sam system zapewnia ludności danej wsi względny dobrobyt.

W. *Bugiel.*

*) Ch. Féré. *Le traitement des aliénés dans les familles.* Paryż, 1893.



LIBERUM VETO.

Przemiana gatunku.

Prasa nasza w Królestwie Polskiem posiada około 60 czasopism. Wyłączywszy 10 specyalnych, pozostaje 50 z charakterem ogólniejszym. W tej sumie najwyżej 5 zaliczyć można do „postępowych,“ resztę składają „konserwatywne.“ Ten bardzo nierówny stosunek stwierdza formalnie dwa fakty: 1) że ogromna przewaga zasad, upodobań i dążeń naszego społeczeństwa znajduje się po stronie żywiołów zachowawczych i 2) że trzydziestoletnia praca, walka i wysiłki naszego liberalizmu w kierunku rozszerzenia swych wpływów i przekształcenia pojęć wydały bardzo ubogi wynik. Jakoż istotnie oba te zjawiska służą nieraz za oparcie nawet troglodytycznym przechwałkom. Zwłaszcza kawalerya dziennikarska, jeżdżąca na rakach, strzela z tego powodu na wiwat lub w socyologicznych rozpamiętywaniach struga przeciwnikom „marchewki.“ A widzicie?!

I cóż my właściwie widzimy? Wielkie złudzenie. Z po za siatki wyrazowych nieporozumień i pozorów wygląda oblicze rzeczywistości całkiem niepodobne do portretowanego zwyczajnym pędzlem frazeologicznym — oblicze, na którem blask gorącej myśli łamie się z cieniem małodusznej trwogi, szczerość miesza się z obłudą, energia z lenistwem a młodość ze starością. Przyjrzawszy się uważnie tym rysom, dostrzegamy lub czujemy, że w nich wyraża się coś innego, niż w podanym wyżej stosunku czasopisma. Czyż więc one kłamią — albo raczej — czy tylko hypnotyzują czytelników, narzucając im swoje myśli i uczucia? Nie. Zachodzi tu inny wypadek.

Ile razy czytam nasze pisma konserwatywne, zawsze staje mi przed oczami wół wychodzący z obory na wiosnę: stara, spłowiała, zimowa sierść pokrywa jego skórę, ale miejscami wydobywają się z niej kępy młodych, świeżych włosów. I nasza prasa zachowawcza powoli linieje — nie wiedząc o tem lub udając, że nie wie. Gdy najuroczyściej zapewnia, że niewzruszenie stoi na swoim lodowcu zamarzłego morza — płynie wraz z nim drogą i siłą prądu, który wszystko z sobą unosi.

Byłoby to zadaniem trudnem a nawet niewdzięcznem, gdybyśmy chcieli drobiazgowo wykazywać postępowe ruchy i przemiany naszego konserwatyzmu w ciągu ostatniego trzydziestolecia. Ale ci, którzy go wówczas widzieli i dziś oglądają, dostrzegli uderzającą różnicę. Darwin był wtedy patronem kryminałów. Dźwigał on na swem czcigodnem imieniu winy wszystkich przestępstw. Rozboje, kradzieże, oszustwa, wiarołomstwa zczepiano z teoryą walki o byt, doboru płciowego i „pochodzenia człowieka od małpy.“ Patryarchowie rodzin na równi z łobuzami salonowymi, cnotliwe matrony na równi z prywatnym pół-światem, domorośli filozofowie na równi z wodzirejami jarmarków wierzyli i zaręczali, że w Down siedzi zaprzyjaźniony z dyabłem wielki gorszyciel ludzkości, który postanowił ją zgubić przez lekkomyślność, czy też złą wolę. Daremne były dowodzenia jego wyznawców, że on nie uczy silniejszych mordować słabszych i nie wyprowadza człowieka „od małpy“: ze wstrętem i bojaźnią krzyczano: *apage, apage!* A dziś? Teorya rozwoju przechadza się dumnie i swobodnie po wałach twierdz konserwatyzmu, pozdrawiana przez ich załogi ukłonem lub czołobitnością. Nie zwodzą przed nią mostów, nie nastawiają armat, a chociaż w niektórych fortecach nie ma ona miejsca stałego zamieszkania — prawie we wszystkich bywa przyjmowana z honorami.

Pamiętam z przed dwudziestu laty artykuł pewnego hrabiego (jeżeli się nie mylę — Mostowskiego), który mniej więcej dowodził, że im kobieta głupsza, tem smaczniejsza. Pod działaniem nauki dusza jej (a może i ciało) wietrzeje, robaczywieje, nabiera nieprzyjemnej gorzkości i cierpkości. Przekonanie to podzielała większość stróżów „rodzinnego gniazda.“ W walkach o „emancypacyę“ pod celnymi strzałami „postępowców“ pokotem padali rycerze „puszku niewinności,“ brutalnie jakoby ścieranego w uniwersytetach, a niewiele było redut tradycyi, koło których ległoby więcej trupów bohaterską śmiercią, niż przy obronie głupoty niewieściej. Zdawało się, że Leonidasi raczej zgodzą się na wszelkie inne ustępstwa dla cywilizacyi: na przechodzenie całkowitego kursu gimnazyum przez młodzieńców herbu Topor lub Bończa, na zrzeczenie się tytułowania parobka psubratem, na ograniczenie haremu młodego dziedzica do trzech dziewcząt folwarcznych jednocześnie itp., niż na wyższe wykształcenie „przyzwoitych“ panien. Tu opór był najzawziętszy. A dziś? „Przyzwoite“ panny kończą nawet najnieprzyzwoitszą z nauk—medycynę, a gdyby która chciała koniecznie ozdobić Topor lub Bończę dyplomem uniwersyteckim, nie widzianoby w tem skandalu. Najbardziej zachowawcze dzienniki bez zgrozy, niechęci i żalu, przeciwnie z widoczną radością donoszą, że gdzieś nasza rodaczka uzyskała stopień naukowy. Mamy nawet arystokratyczne autorki, a chociaż według znanej teoryi można „zbogacać literaturę“ ubóstwem umysłowem i chociaż najciemniejsza głowa uchodzi często za najjaśniejszą latarnię, jednakże w ostatnich czasach uznano, że w tej latarni nie przeszkadza jakieś światełko wiedzy i że nafta jest lepszą od łojowej świeczki.

Z podobnych przykładów możnaby ułożyć górę. Kto je wywołał? Albo ja wiem, jak ich właściwie nazwać: postępowcy, pozytywiści, liberałowie, w każdym razie nie ten duch, który rozparł się w 45 pismach naszej prasy, ale ten, który ukrył się w pięciu. To jest fakt, którego nie ugryzie żadna sofistyka. Zwracając na niego uwagę naszych czytelników, nie mam zamiaru jednym przypinać orderów i wręczać buław, a drugim przywieszać kaczych głów dla zapustnej uciechy. Bynajmniej. Chodzi mi tylko o zaprotestowanie fałszywych weksli, które nasz konserwatyzm puszcza w obieg lub dyskontuje na rachunek swych urojonych pretensyj. Jego bowiem udział w umysłowym i społecznym rozwoju ostatniego trzydziestolecia jest niezmiernie mały i równa się prawie zupełnemu bankructwu tak dalece, że obecnie w całej naszej prasie nie mamy dziesięciu pełnej krwi zachowawców. Przeważnie zaś jest to dawna rasa szlachecko-mieszczańska, skrzyżowana z postępowcami, zdradzająca instynkty i upodobania dwu odmiennych gatunków. Na starej kamienicy w Kazimierzu przedstawiona jest olbrzymia postać św. Krzysztofa, który niesie kilkoro maleńkich ludzi zatkniętych za pasem. Św. Krzysztofem był dla naszych zachowawców postęp, który ich wsadził sobie za pas i poniósł drogą ogólnego rozwoju pojęć i stosunków w całym świecie. Harde miny i odnawiane śluby z tradycyą są tylko ratowaniem pozorów, które już tylko złudzić mogą dziecinną naiwność. Rzetelnych mastodontów, prawowiernych czcicieli zdetronizowanych bogów, owych chińskich fanatyków kultu starej myśli, którzy dla zgnębienia przeciwników sami sobie rozpruwają brzuchy — nie mamy. Natomiast w zachowawczej rzeszy posiadamy mnóstwo umysłów wielobarwnych, pstrokatych, kropkowanych i pręgowanych darwinizmem, radykalizmem społecznym, demokracyą, filantropią robotniczą itd. Kolory te krzyczą i kłócą się, rysy wzajemnie się wypierają, trzeba te sprzeczności godzić, te łaty zszywać, szpary zatykać i zaklejać, a na ustach mieć ciągle przechwałkę konsekwencyi i niewzruszoności. To jest właściwa u nas robota konserwatywna. Gotowiśmy uznać w niej nawet poważny dramat, tylko niech występujący w nim aktorzy nie wykrzykują od czasu do czasu: społeczeństwo — to my! Bo wtedy zamienia się on na farsę.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Otton Gaupp: *Herbert Spencer*, przełożył z niemieckiego dr. A. Grosglick. Warszawa. 1893, str. 118.

Co o filozofii Augusta Comte'a mówiono niegdyś (Mill, Littre, Herbert Spencer), to samo powiadają nam dziś o Spencerze: Huxley, Lubbock, Youmans. Streszczając ich zdania, Otton Gaup pisze: „Jako człowiek, Spencer przypomina z dawniejszych myślicieli najbardziej Spinozę — niezależnego, bezinteresownego i świadomego należytej drogi: jako filozof — stoi on pod względem potęgi i zdolności do uogólnienia, pod względem rozległości swej wiedzy i poglądu, w jednym rzędzie z Arystotelesem i Descartesem.“ Z krótkiego życiorysu dowiadujemy się jeszcze o paru szczegółach znamiennie wspólnych z Comtem. Spencer, pochodząc ze starej, niezamożnej rodziny nauczycielskiej, otrzymał wychowanie nader skromne, niemal wyłącznie domowe, kształcąc się głównie pod okiem stryja, proboszcza kościoła anglikańskiego w Hinton Charterhouse; utrzymywał się następnie z zajęć zupełnie przygodnych, był bakalarzem, dziennikarzem, „inżenierem,“ kasyerem w jakimś domu kupieckim itp. Gdyby nie filozofia, stałby się zapewne czasem „i żonatym, i bogatym, i szczęśliwym na tym świecie...“ Ale cóż — przyszła kreska na Matyska! więc też kiedy Spencer pisał najznakomitsze swe dzieła, wpadał materyalnie, za przykładem Comte'a, w położenie takie, że najbliżsi przyjaciele robić musieli składki na jego utrzymanie i wydanie pism. Był nadto myśliciel angielski, równie jak i filozof francuski samoukiem — w tem znaczeniu, że genezyjny pomysł do swego dzieła, wraz z całym do niego materyałem dowodowym, czerpał z lektury dorywczej — niezmiernie obfitej i nieustającej, lecz dowolnej, w najwyższym stopniu niesystematycznej... Systemat dość wcześnie powstał w głowie; po cóż go jeszcze było szukać w książkach?...

W drugiej połowie r. 1839, Spencer, który wtedy liczył 19 skończonych lat życia (ur. 20 kwietnia 1820), pracował na świeżem powietrzu, tyleż z potrzeby ile dla poprawienia wątłego zdrowia: doglą-

dał mianowicie budowy kolei żelaznej Birmingham-Gloucester i sprawdzał sprawność machin parowych. Zajęcie to nastręczyło mu myśl gromadzenia wykopalisk i studyowania pokładów ziemnych. Zabrał się do czytania głośnych „Zasad geologii“ Karola Lyella — i po raz pierwszy zetknął się w tem dziele z teoryą ewolucyi — z ideą nieustannego rozwoju jestestw organicznych. Pomimo, że Lyell ideę tę zwalczał i rozbierając hypotezę Lamarcka (poprzednika Darwina) stanowczo się przeciwko niej oświadczał, młody Spencer, odznaczający się od dzieciństwa duchem przekory i oporności względem wszystkiego, co „uznane,“ co „przyjęte,“ co „ustalone,“ został—jak sam wyznaje— tak dalece uderzony trafnością poglądu Lamarcka, że postanowił być niezłomnym zwolennikiem doktryny, rozwiniętej we dwadzieścia dopiero lat później przez Darwina. W końcu 1841 opuścił zajęcia kolejowe i wrócił do domu rodzicielskiego, gdzie pozostawał przez dwa lata, przerzucając w ciągu tego czasu podręczniki botaniki i zoologii, ćwicząc się w rysunku, zajmując się rozmaitymi wynalazkami mechanicznymi i czytając od rana do zmroku to wszystko, co się pod rękę nawinęło. Ziarnko ewolucyi kiełkowało i rosło powoli w tej glebie różnorodnej. Wypadki życia przerzuciły wkrótce badawczy umysł przyszłego reformatora na pole ekonomiczne i finansowe. W jesieni 1848 r. widzimy go na stanowisku „podredaktora“ w czasopiśmie „Ekonomist“ — a w tece jego spoczywała już przeważna część pierwszej obszerniejszej pracy p. t. „Statyka społeczna,“ *(Social - Statics)*, wydanej dopiero w r. 1850. Tu już ewolucya przedstawia się w dojrzewającej pełni — autor z upodobaniem posługuje się analogiami zaczerpniętemi z... przyrody, przyczem „przyrodę“ pojmuje całkiem „biologicznie.“ Astronomia, fizyka, chemia, z których Comte zbudował był trzechstopniową podwalinę dla fizyologii, stanowiącej wstęp do socyologii, nie wchodzą jeszcze do rachuby w kombinacyach angielskiego myśliciela. Gdziekolwiek w „Statyce“ jest mowa o „zależności rozwoju ludzkiego do sił przyrodzonych — przez siły zawsze rozumieć należy pewne uogólnienie zjawisk świata organicznego — przyczem świat nieorganiczny (t. zw. „przyroda martwa“) staje tu w odwodzie z poparciem najzupełniej nominalnem, przypuszczalnem, prawie fikcyjnem. „Postęp — pisze np. Spencer — nie jest czemś przypadkowem, lecz częścią przyrody, jak wzrost zarodka lub kwiatu... Przekształcenia, które ludzkość przebyła i wciąż przebywa, są wynikiem prawa, stanowiącego podstawę całego żyjącego świata.“

Biologiczny ten przedsionek godnym jest uwagi. W filozoficznym układzie formuł naukowych, tworzyć mających wyrozumowany pogląd na wszechświat, Comte usiłował był (bezskutecznie, niestety) wyprowadzić „prawa“ rozwoju fizyologicznego (roślinnego i zwierzęcego) z praw natury fizycznej, a dopiero z otrzymanej w ten sposób całości wysnuł parę wiotkich przesłanek dla swej socyologii, czyli dla „praw“ rozwoju ludzkiego. Spencer postąpił, na pozór, podobnież — ale porządkiem pod pewnym względem odwróconym. U niego nie fizyka fizyologii, lecz fizyologia fizyce użycza poniekąd swych świateł — a dopiero obydwie razem, za pośrednictwem psychologii wnioski swe narzucają wiedzy o człowieku, to jest—naukom humanistycznym, które w „Statyce społecznej,“ zawczasu, przedwstępnie, antycypacyjnie wyłoniły z siebie zarodek całego systemu: ideę ewolucyi. Wszystko razem, w objawie konkretnym, pod piórem Spencera, nabierało kształtów i barw stopniowo, modyfikując się wzajemnie, uogólniając się coraz bardziej i przeobrażając konkluzye zdobyte indukcyjnie na postulaty dla dociekań dedukcyjnych. Kiedy po wydaniu „Statyki“ Spencer zabrał się przeskakując na razie przez „Biologię,“ opracowaną znacznie później — do pierwszej, fizyologicznej części „Psychologii,“ ogłoszonej w r. 1853, przeświadczenie, że przyroda odbywa tę samą ewolucyę w umyśle ludzkim, co i w rozkwicie róży lub jabłoni, nie skrystalizowało się jeszcze było całkowicie w głowie filozofa.

Nieprzebyta otchłań, oddzielająca przedmiotowość od podmiotowości, stawała na zawadzie próbom unifikacyjnym. Ale gdy przepaść przekroczyło się szczęśliwie z pomocą wyśmienicie dobranego wyrażenia o podwójnym wyglądzie ducha — całość, w zarysie embryologicznym, była już gotowa. Ciągłość, nieprzerwaność ewolucyi, ustalona w zakresie jaźni — w dziedzinie uświadomienia — utwierdziła Spencera w domyśle, iż prawo rozwoju jest prawem powszechnem, doniosłości równie uniwersalnej, jak prawo ciążenia. W r. 1858 powziął on mgliste na razie, jaśniejsze później przypuszczenie, że pomieniona ewolucya mogłaby służyć za podstawę ogólnego całokształtu wiedzy, w którym wszelkie poznania poszczególne jednoczyłyby się i zlewały we wszechpoglądzie na wszechświat — w całokształcie wiedzy jednolitym i wszystko obejmującym. Założenie było olbrzymie, wykonanie dzieła wymagało oczywiście lat wielu; całość początkowo składać się miała z siedmiu tomów, ale w „Prospekcie,“ ogłoszonym 1860 r., zapowiedziano już tomów dziesięć, które w ciągu trzydziestoletniej z górą pracy urosły do jedenastu i obejmują: „Zasady pierwsze“ (dwa tomy), „Psychologię“ (dwa t.), „Socyologię“ (trzy t.), „Moralność“ (dwa t.). Początek „Zasad pierwszych“ ukazał się w r. 1860, tom trzeci „Socyologii“ wyszedł w r. 1896. „Zasady pierwsze tworzą grunt i podwalinę całego systematu, jest to „filozofia ogólna, ujmująca w liniach zasadniczych treść i wynikłość wszystkich nauk konkretnych: poszczególne prawdy nauk pojedynczych służą tu jedynie do wyjaśnienia i dowiedzenia założeń najogólniejszych, czyli t. zw. „praw powszechnych.“ Inaczej się rzecz ma w pozostałych dziewięciu tomach, składających się na „filozofię szczegółową“; tu prawdy najogólniejsze nie stanowią już przedmiotu badania, jak w „Zasadach pierwszych,“ lecz używane są jako postulaty, kryterya, wskazówki i punkty oryentujące: pewniki te przypuszcza się z góry jako dowiedzione i używa się ich jako narzędzi do zdobycia i wyświetlenia specyalnych prawd biologii, psychologii, socyologii i etyki.

(D. n.).

K. Włostowski.

NOTATKI NAUKOWE.

W Towarzystwie historycznem we Lwowie przemawiał znakomity slawista berliński, prof. Brueckner, w sprawie „Początków Słowian i Niemców.“ Wychodząc ze stanowiska wyłącznie filologicznego, prelegent pyta, czem może filologia przyczynić się do rozświecenia zagadnień historycznych, dotyczących początków Słowian i Niemców. Słowa zapożyczone u obu plemion wykazują zasadnicze różnice plemienne; wystawiają Niemców, jako najeźdźców (ksiądz - kniaź, miecz, szłom - hełm itd.), Słowian, jako pasterzy, rolników, składających daniny i pracujących (pługiem), warzących piwo z chmielem itd; różnice podobne wskazują także i nazwy poszczególnych szczepów słowiańskich od ziemi (na — *anie* i *icy*), niemieckich od broni (Sachs, Franke) i dzielności. Ostatni z najazdów niemieckich uwiecznił się w dziejach słowiańszczyzny wschodniej wytworzeniem jądra późniejszego państwa kijowskiego, bo że Rurykowicze i ich drużyna wyszli od „Normanów,“ dowodzi niezbicie analiza filologiczna ich imion. Równocześnie prelegent wykazał na kilku przykładach, że taka analiza nie dopuszcza żadnych wniosków ogólniejszych np. w analizie imienia Lachów—Lechów przychylił się do zdania etnografa p. Krzywickiego, że nazwę tę dała „Ruś“ sąsiadom zachodnim, wymawiającym nosówki, że więc za tą nazwą nie ukrywa się żadna tajemnica czy wskazówka dziejowa. (*Kwartalnik historyczny*)

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA

W OSTATNIEM PIĘĆDZIESIĘCIOLECIU.

I.

Niemiecki poeta i krytyk, Adolf Bartels, przedmiotowi temu poświęcił książkę *), która w ciągu dwóch lat doczekała się trzech wydań. Powodzenie jej jest zupełnie zrozumiałe: odtwarza ona doskonale nastrój przeciętnej, literacko-wykształconej opinii niemieckiej. Autor zbytnio nie pogłębia swego przedmiotu, bardzo mało np. uwzględnia wpływ stosunków gospodarczych na urobienie się pojęć i kierunków liberalnych, uznaje dążności modernistyczne, lecz stanowczo potępia zbyt wybujałe ich krańcowości, nie zachowuje się odpornie wobec prądów, płynących z zagranicy, a równocześnie wraca do fundamentów i tradycyj ściśle rodzimych — nie bez małej dozy antisemityzmu. Wady te są w oczach większości czytelników zaletą, a w stronie czysto etycznej dzieła Bartelsa każdy musi dopatrzyć zalety. Autor posiada ów szósty zmysł, który niewielu krytykom przypadł w udziale: wrodzone poczucie piękna, i ono zastępuje mu sumienie społeczne, etyczne, naukowe. Właściwości te wyróżniają pracę Bartelsa, jako *względnie* najlepszą z pośród innych opracowań dziejów najnowszej literatury niemieckiej, a że pod względem ścisłości i wszechstronności reformacyj bio- i bibliograficznych zadawala ona wszelkie wymagania, więc może nam służyć doskonale do zoryentowania się w labiryncie akademij, szkół i szkółek, fabryk, warsztatów i samotni, jakim jest piśmiennictwo niemieckie z drugiej połowy XIX wieku.

Przedewszystkiem autor zadaje sobie pytanie, czy historyę literatury współczesnej można wogóle pisać? Nietylko odnośnie do poezyi niektórzy stawiają pytanie

Wieleż lat trzeba czekać, nim się przedmiot świeży
Jak figa ocukruje, jak tytuń uleży?

Pisać dzieje literatury współczesnej—mówi za innymi prof. Litzmann — znaczyłoby dłonią chwytać fale bieżące i wtłaczać je w formy skończone, zamknięte. Bartels jest przeciwnego zdania. Już Lessing powiedział, że każdy historyk pisze właściwie tylko historyę swojego czasu, a jeżeli pisze o innym okresie — daje także tylko przyczynek do dziejów współczesnych. Rozwój ograniczony, zamknięty w sobie, w rzeczywistości nie istnieje; wszystko płynie. Jeżeli bieg dziejów zechcemy nawet porównać z nurtem kipiącym, nie wolno nam zapominać, że bieg literatury znaczy się książkami, utworami, których przyczyny leżą już w przeszłości, są więc klasycznym objektem dla dziejopisarza. Prawda, pod jednym względem nastręcza się trudność, zda się, nie do przezwyciężenia: przy osądzaniu wpływu pisarza na potomność. Pytanie to nie jest jednak zbyt ważnem. Przedewszystkiem musi pisarz żyć dla swojej epoki, głębsza zaś inteli-

*) *Die deutsche Dichtung der Gegenwart. Die Alten und die Jungen.* Lipsk, 1900, u Edw. Avenariusa, str. 290.

gencya nie da się zaślepić i przeniknie tajemnice mniejszego lub większego jego wpływu także na pokolenia późniejsze.

Oczywiście, „współczesne“ nie oznacza: „dzień dzisiejszy.“ Należy brać w rachubę okres życia jednej np. generacyi i wogóle szukać okresów, podlegających działaniu pewnych sił, które z biegiem czasu robią miejsce innym. Na tej drodze można będzie dojść do odkrycia sił, działających jednakowo w jednakowych warunkach, tj. praw duchowych...

W piśmiennictwie niemieckiem z drugiej połowy XIX w. Bartels widzi kilka okresów, odbijających od siebie charakterystycznemi znamionami. Datami tych okresów nie są wielkie daty historyi politycznej; dla literatury rok 1848 i 1870 żadnego nie mają znaczenia. Jako daty, biorąc oczywiście okrągłe liczby, można uważać raczej trzydziestolecia: 1800 (romantyzm), 1830 (Młode Niemcy), 1860 (Monachijczycy), 1890 (Najmłodsze Niemcy). Każdy taki okres zaczyna się prądem buntowniczym przeciw staremu, gdyż wyrosło właśnie pokolenie młode, fizyologicznie już usposobione do „burzy i naporu,“ szukające dróg i celów własnych.

Najsmutniej przedstawia się pierwsze dziesięciolecie drugiej połowy XIX w. Po upadku nadziei, przywiązanych w Niemczech do r. 1848, zapanowała polityczna bezsilność i apatya: za to dokonywał się bardzo korzystny przewrót ekonomiczny: wytwarzał się wielki przemysł i zamożny stan średni oraz towarzyszący mu liberalizm pojęć i komfort życiowy. W literaturze dokonywał się przełom między idealizmem starych klasyków a realizmem powstającej, nowej epoki. Na czoło literatury ówczesnej wysuwają Niemcy dzisiejsi dwóch ludzi, którzy swojego czasu walczyli z największemi trudnościami i bardzo mało mieli uznania. Imiona ich: Fryderyk Hebbel i Otto Ludwig, „jedyne geniusze czasu między r. 1840—1865.“ Dramaty ich Bartels stawia obok dzieł Shakespeare'a, wyżej od dzieł Schillera, pod względem zaś zmysłu artystycznego—obok Goethego. Jeżeli brak im harmonii, należy to przypisać czasowi przejściowemu, w jakim żyli, epoce upadającej, nie rozkwitającej. Tworząca się burżuazya nie potrzebowała tragedyj. Obaj wyrośli na gruncie klasycyzmu i przedzierali się do nowego świata realistycznego, oczywiście „poetycznego.“ Stąd w dziełach ich dużo nierówności, skoków gwałtownych, namiętności dzikich. W każdym razie są to „geniusze drugorzędni,“ a dla świata niegermańskiego mają niewielkie znaczenie. Zawsze jednak góruje Hebbel swojemi poezyami, „Herodem“ oraz „Nibelungami,“ a Ludwig — „Machabeuszami“ i opowieściami, nad całą epoką, choć do niedawna zaćmiewały ich talenty drugo i trzeciorzędne: poeta burżuazyi, Gustaw Freytag, Dickens, wiosek meklemburskich Fritz Reuter, piewca gniazd starych Wilhelm Raabe, liryk w dyalekcie ludowym Klaus Groth, zmanierowany malarz rodzajowy Teodor Storm, szwajcarski poeta lokalny Godfryt Keller i archaizujący stary bursz, Wiktor Scheffel. Ostatni miał najwięcej powodzenia u mas szerokich, Freytag najwięcej uznania oficyalnego, najbardziej zaś uzdolnionym był Keller; jego „Henryk Zielony“ jest może najlepszą powieścią niemiecką. Obok nich grupuje się cała plejada talentów poetyckich, literackich i fabrykantów powieściowych, która dzisiaj straciła już wszelkie znaczenie.

W przeciwieństwie do tych sił, wprowadzających literaturę na tory realistyczne, idące równolegle z postępem życia narodu, rozwinęła się około 1860 r. szkoła monachijska, jako *par excellence* artystyczna. W epoce przed r. 1870 nie były jeszcze Niemcy — szczególnie południowe — widownią roznamiętnionych walk społecznych; nie istniało także owo rozpasanie obyczajowe i newroza powszechna, cechująca koniec wieku; mieszczaństwo zamożne, liberalne, wysoce kulturalne, lubowało się w obrazach piękna, w melodyach słowach, kołyszących łagodnie fantazyę, łechcących estetycznie nerwy. Zjawiła się garstka artystów, głosząca zasadę sztuki dla sztuki, tolerująca z pierwiastków utylitarnych co najwyżej tylko narodowościowy, odwracająca się z niechęcią tak od filistra, jak i od poety-publicysty. Aksamitna bluza i kapelusz kalabryjski cechowały już na zewnątrz tych artystów, którzy żyli duszami we wszystkich światach, gdzie piękno gości i czcili kunszt formy więcej, niż treść. Skończyli też przeważnie na akademickim formalizmie, na zupełnem oderwaniu się od ziemi, na kulturze bardzo wysokiej, ale często egotycznej i egzotycznej. Głową szkoły był Emanuel Geibel, liryk bez głębszej siły żywiołowej, pod względem formy pełen smaku i pracowitości eklektyk. Następcą jego, wywierającym wpływ do dziś dnia, jest Paweł Heyse. Do niego Bleibtreu stosował zdanie, wypowiedziane niegdyś o Karolu V, że nigdy nie wyrzekł słowa, któreby nie było pięknem i nie spełnił czynu, któryby był pięknym. Jego czyny poetyckie — to erotyka romantyczna i tchórzostwo wobec wszelkich nowych prądów życia i sztuki — co prawda, w formie zawsze doskonałej. Trzecią głową tejże szkoły był ks. Schack, który mając pretensye poetyckie, zasłużył się faktycznie tylko dla malarstwa. Bodenstedt, Grosse i inni maszerują w tym samym szeregu, któremu nie można odmówić jednej zasługi: mistrzostwa w nader licznych przekładach z piśmiennictw obcych.

Natury to przy tem wszystkiem zdrowe, obok nich pojawiają się już jednak o tej porze dekadenckie, piękne, chorobliwe kwiaty, efektowne i zabójcze. Dekadentyzm istniał bowiem już w Niemczech przed r. 1870, mimo niezaprzeczonej siły, z jaką naród w tym roku wystąpił. Patryarchalny, małomieszczański charakter narodu ulegał pod wpływem wielkiego przemysłu szybkiej zmianie, z nią szło niejednokrotnie w parze użycie i nadużycie, kultura i hyperkultura, nerwy wysubtelnione i chorobliwie przerafinowane. Tym *wczesnym* dekadentyzmem jest zarażony Robert Hamerling (Ahaswer, Aspazya), Brachvogel, Hans Hopfen w pierwszej fazie twórczości, rozmiłowany we „wściekłości kolorytu“ Leuthold, książę Emil Schönaich-Carolath, Sacher-Masoch. Nie bez wpływu na cały ten kierunek pozostaje działalność Ryszarda Wagnera, którego „Tristan“ był już rozpowszechniony przed r. 1870. Niesłusznie zupełnie zalicza autor do tej grupy Fryd. Spielhagena, dając już nazbyt folgę swej tendencyjności. Spielhagenowi nie można w Niemczech wielu przebaczyć, że nie był wielbicielem Bismarcka; natura to jednak zdrowa, niezbyt poetycznie nastrojona; jest to Eugeniusz Richter w literaturze.

Rok 1870 stanowi punkt zwrotny raczej w historyi kultury, niż piśmiennictwa Niemiec. Z nagłem spotężnieniem i rozkwitem narodu rozpadł się on na dwie części, jedna lgnie do starych form i ideałów: druga rzuca się naprzód — z prądem ogólno-europejskim, przyjmując zeń tak dobrze tchnienia, jak i bacylle chorobotwórcze. Literatura nie na tem nie skorzystała. Freytag pisał cykl powieści historycznych dla uświetnienia Hohenzollernów. Spielhagen — tendencyjnie powieści współczesne, dawne talenty próbowały pisać hymny wojenne i wróciły do swoich kieratów. Nowe, prawdziwe siły nowemu państwu nic nie zawdzięczają. Wybija się w okresie 1870—85 dobry liryk, Marcin Greif, i szereg powieściopisarzy, mających swą ojczyznę i działających po za granicami „Reichu.“ Niepospolitym, europejskiej miary artystą jest Szwajcar, Konrad Ferdynand Meyer (piewca kultury niemieckiej i włoskiego odrodzenia); odnowicielem dramatu, żywiołowym, sokami ludu napojonym pisarzem jest Ludwik Anzengruber, śpiewakiem Alp — Rosegger, zajmującą romansopisarką — Marya Ebner Eschenbach, wszyscy z Austryi. Okres ten jest w ogólności przejściowym, nieokreślonym: życie polityczne, wojskowe i... grynderskie przysłania wszelką sztukę; zastępuje ją dziennikarstwo i fejleton. Berlin staje się małym Paryżem, kultura podbitych bulwarów podbija zwycięzką burżuazyę niemiecką. Dumas-syn znalazł naśladowcę w Pawle Lindau, Sardou—w Oskarze Blumenthalu, a obaj ci opanowali na pewien czas zupełnie fejleton, krytykę i scenę, szerząc płaski dowcip i wyrafinowaną zgniliznę. Oni reprezentowali postęp, drugi zaś odłam narodu, konserwatywny, nie wychodził po za obręb literatury archeologicznej (Jerzy Ebers, Jerzy Taylor, Feliks Dahn, Ernest Eckstein). Nauka kwitła, sztuka i ogólny poziom duchowy spadały coraz niżej. Małe talenty poetyckie: Juliusz Wolf, Rudolf Baumbach, były karłami między olbrzymami, „bojaźń boża i dobre obyczaje“ schroniły się do „czasopism dla familii,“ w których stare panny i guwernantki rej wodziły; trójka ich: Marlitt — Werner — Heimburg, uzyskała nieśmiertelność i — najwyższe honorarya literackie. Talenty lat dawniejszych: Hebbel, Ludwig, były w pogardzie, nowe: Keller, K. F. Meyer — nieznane. Orgia dorobkiewiczów szalała we wszystkich dziedzinach życia i sztuki.

W. F.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Widma Moniuszki.

Teatr Wielki wystawił z nadzwyczajnym pietyzmem pierwszą część „Dziadów,“ którą Moniuszko nazwał „Widmami.“ Zarówno wspaniała muzyka jak i genialny ten poemat nastręczają tyle uwag, że krytyk wobec trudności zadania poczyna się lękać, ażali w szczupłych ramach zwykłej recenzyi teatralnej zdoła choć drobną ich część należycie wypowiedzieć i jako tako uzasadnić. Są poeci, jak naprzykład Słowacki, których na piedestale przynależnej im sławy stawia krytyka. Z Mickiewiczem tak nie było. Jego krytykiem był naród. Krytyka to nieuświadomiona, niesformułowana; było to, że się tak wyrazimy, zrozumienie sercem; ale też ten klucz pootwierał narodowi wszystkie sezamowe zamki poematu, przed którymi krytyka literacka stała ze swymi wydrychami bezradnie, nie odnajdując najprostszych nieraz połączeń i związków z całością i fałszywie objaśniając sobie postacie, które przez dziurkę od klucza widziała w głębi. Zaiste, krytyka dotarła do kaplicy na obrzęd Dziadów, ale tylko do progu. Dziady rozpoczął wyśmiewać Osiński, drwiła z nich swojego czasu Warszawa; dziś nikt nie śmiałby targnąć się na uznaną wielkość, chyli przed nią kornie czoło krytyczne, recytuje za koleją wszystkie pochwały i powtarza wszystkie zarzuty, które się jeszcze ongi wylęgły w głowach różnych Po-Osińskich, ani ich nie sprawdzając, ani też nie zapuszczając głębiej oka w ten dziwny poemat, dając się uwodzić fałszywej numeracyi poszczególnych części i pozorom nader błahym.

Dziś nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że „Widma“ łącznie z wstępnym wierszem, zatytułowanym „Upiór,“ stanowią *pierwszą* część „Dziadów.“ Natomiast tak zwana część pierwsza, nieskończona, drukowana po śmierci wieszcza, jest szkicem, projektem czegoś, co widocznie zostało zaniechane i odrzucone. Poemat ten

niema jednego bohatera, dokoła którego grupowałyby się zdarzenia; bohaterem jest *ogół* a poszczególne postacie *znamiennymi rysami* tego ogółu. Mickiewicz, kreśląc obraz współczesnego społeczeństwa, rozpoczął od tła gminnego, od charakteryzacyi nawskróś zrezygnowanej duszy gminu, która pociechy i sprawiedliwości szuka na tamtym świecie. Przed tym gminem staje „inteligent“ ze swoją krwawą plamą na piersi. Dla owego gminu jest on tylko może bezbożnikiem - samobójcą; dla prostaczego księdza z tak zwanej czwartej części „Dziadów,“ a najwidoczniej części drugiej, tylko rozszalałym kochankiem; ale kto głębiej zdołał zajrzeć mu do duszy, ten wie, iż nastanie chwila, kiedy on chwyci węgiel i napisze na ścianie swojego świata: „Hic mortuus est Gustavus, hic natus est Conradus.“ I nagle wszystkie części utworu zlewają się w jedną wstrząsającą całość, nagle nikną wszelkie podobieństwa z Faustem i dziwić się trzeba, że się ich kiedyś dopatrywano, nagle owa scena „Widm“ staje się wspaniałą, niesłychanie jasną i prostą a zarazem niezbędną „ekspozycyą“ rozgrywającej się tragedyi, żadną dekoracyą fantastyczną, jak mniemano, żadnym ustępem dla siebie, ale częścią organiczną całości.

Ale trzymajmy się samych „Widm.“ Bardzo wiele mówi się zazwyczaj przy rozbieraniu tego ustępu o pogańskich praktykach gminu, których psychologia, śmiemy sądzić, wcale zbadaną nie została. Czy tam podają guślarzowi zapaloną garść kądzieli, której płomyk gmin „pędzi lekkim oddechem,“ czy też popełniają inne gusła, jest to rzecz drugorzędna, bynajmniej nie najważniejsza: jest to tylko forma jakiejś myśli. Ale jakiej? Nie ulega również najmniejszej wątpliwości, że Mickiewicz tajemną uroczystość opisał możliwie wiernie, tj. z ułamków materyalnych złożył całość według ich duchowej z sobą łączności. Mamy pewne prawo przypuszczać, że tak samo postąpił Dante, który nietylko wprowadził do literatury język swojego narodu, ale i jego duszę i jego wierzenia. Zestawiając sceny skreślone przez niego z „Widmami,“ uderza nas na pierwszy rzut oka wspólna zasada, jednakie pojęcia sprawiedliwości, a gdybyśmy sięgnęli do mytów starogreckich, to odnaleźlibyśmy jedno pasmo, które się snuje przez wierzenia religijne wszystkich ludów na pewnym stopniu kultury pozostających, wedle których stale nagroda równa się zasłudze, kara przestępstwu, Ugolino pożera Rudżiera, skąpego dziedzica-okrutnika szarpią zmienieni w drapieżne ptactwo poddani itd. itd. Więc w „Widmach“ Mickiewicz z warunków lokalnych umiał wysnuć cechy wszechludzkie, łącząc gmin z zapadłej Litwy i Rusi z resztą świata ludzkiego w jedną rodzinę. Z tego też powodu wierzymy w to silnie, że „Dziady“ nie są jedynie klejnotem skarbca literatury narodowej, ale staną się składową częścią tego bogactwa duchowego, z którego czerpie cała ludzkość i na które się z dumą powołuje.

Na innem miejscu wykazaliśmy, do jakiego stopnia poszczególne postacie, jak np. Dzieci-Aniołków, płochliwej Zosi itd. są przez mistrza wysnute z duszy ogółu, a nie — jak mniemano — przeszczepione z gruntu pseudo-klasycznego na glebę gminną. Któż nie zna takiej Zosi, która od Józia przyjmuje wstążkę, Antosiowi weźmie serce, ale boi się brutalnego uścisku miłości ziemian, nigdy nie zostanie matką, nigdy stopą nie dotknie ziemi. „Na głowie ma krasny wianek, w ręku zielony badylek“ — i już rozwiązane wszystkie zagadnienia życia... A z boku sunie upiór z krwawą plamą na piersi... Któż nie zna owych aniołków maminych, oddzielonych tylko parkanem od znędzniałej dziatwy, a domagających się bodaj ziarnka gorczycy, któreby słodycz ich bytu urozmaiciło; to istnienie bez grzechu i cnoty z powodu braku okazyi... A z boku przesuwa się widmo z ową plamą na piersi... Któż nie zna pod rozmaitą skorupą owych piekielnych egoistów, którzy „w pijanej ochocie“ murem hajduków odcinają się od reszty świata i jego zagadnień... A z boku sunie upiór z ową plamą na piersi, chwyta węgiel i pisze na ścianie, w co go to wszystko, co widział, przeobraziło.

Ale dość. Nie piszemy traktatu. Usiłujemy jedynie wygłosić pierwsze słowa tego, co wszyscy już sobie mniej lub więcej uświadomili i co czuli, choć nie wypowiedzieli.

Kiedy jedni tonęli w bezgranicznych pochwałach, a różni Po-Osińscy jeszcze nad Dziadami kiwali głowami, skromny kompozytor warszawski do niedawna przez naszych wielkich za parafiańskiego nieokrzesańca uważany, pieśniarz nad pieśniarzami, Stanisław Moniuszko, stworzył do pierwszej części „Dziadów“ muzykę i ustęp ten, stanowiący poniekąd całość dla siebie, nazwał „Widmami.“

(D. n.).

A. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. S. M. Roguski. „Mąż i pan.“ Dubowski.

— L. Belmont: „W wieku nerwowym.“ Wyd. II. Wende.

DRAMAT. E. Rostand: „Księżniczka z za morza.“ Okręt.

BADANIA LITERACKIE. C. Jellenta: „J. Słowacki dzisiaj.“ Kraków.

STATYSTYKA. W Załęski: „Królestwo Polskie pod względem statystycznym,“ cz. I. (Ludność, rolnictwo, górnictwo i finanse). Wyd. Kasy Mianowskiego.

ARCHEOLOGIA. „Światowit.“ Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem E. Majewskiego. Tom II.

ROLNICTWO. Z. Zieliński: „XIX sprawozdanie stacyi oceny nasion w Warszawie.“

SPRAWY SPOŁECZNE. R. Dmowski: „Wychodźtwo i osadnictwo,“ cz. I (str. 109). Lwów.

— „W sprawie sanatoryów ludowych.“ (Zdania wybitniejszych lekarzy europejskich o wartości klimatu swojskiego przy leczeniu gruźlicy). Łódź.

PODRĘCZNIKI. H. Wernic: „Historya powszechna.“ (III. Czasy nowożytne) str. 321. Paprocki.

SPORT. M. Rościszewski: „Gry i zabawy towarzyskie“ (wskazówki do przyjemnego spędzania czasu), str. 278 Paprocki.

W DALI.

Lublin. Miejscowy organ urzędowy poruszył sprawę niepodzielności gruntów włościańskich ukazowych i podkreślił fatalne następstwa tego prawa. Rodzina włościańska, nie mogąc dzielić gruntu prawnie, dzieli go nielegalnie, skutkiem czego tworzą się różne powikłania, mianowicie: przepis powyższy ogranicza prawo własności, a nie przynosi korzyści. Od r. 1866 warunki gospodarstwa zmieniły się ogromnie, ziemia daje dochody znacznie większe. Przed laty 34 jako *minimum* obszaru, mogącego wyżywić rodzinę włościańską, uznano sześć morgów; obecnie jednak wydajność gruntów podwoiła się. Z tych więc powodów — zdaniem *Lub. Gub. Wied.* — pozostawienie normy dawnej, sześć morgów, nie ma wcale racyi bytu. Przedewszystkiem *minimum* to, zależnie od warunków danej okolicy, powinno być różne. Organ powyższy bierze za zasadę, że rodzina włościańska składa się z sześciu osób; jeżeli zaś przypadkiem liczy więcej, to ta nadwyżka, odbiegająca od normy przeciętnej, wychodzi na służbę. Na wyżywienie jednego człowieka we wsi trzeba 15—18 pudów ziarna i tyleż kartofli. Ponieważ urodzaj zależy od jakości i kultury ziemi, więc powyższą ilość zboża i kartofli zebrać można: na ziemi pierwszej klasy z dwu morgów, na ziemi drugiej klasy z trzech, na ziemi trzeciej klasy z czterech, na czwartej z pięciu i wreszcie na piątej z sześciu. Z obliczeń tych okazuje się, że *minimum* sześć morgów, określone przez komitet urządzający, byłoby właściwem tylko na tak lichych gruntach, jakich w Królestwie Polskiem prawie niema; gdy przeciwnie w wielu okolicach *minimum* to mogłoby wynosić cztery morgi, a na ziemiach dobrych nawet dwa. Obliczenia te może są trochę ryzykowne i jednostronne. Można byłoby wszakże wykonać je dokładniej za pomocą Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które posiada ceny gruntów w różnych okolicach kraju. Zresztą sprawy tej nie można badać pobieżnie i powierzchownie. — *Gazeta Lubelska*, z powodu ostatniej odezwy *Wisły*, zamieściła następujące uwagi: Gubernia lubelska, jak może żadna w Królestwie Polskiem, stanowi dotąd jakby klasyczną krainę pod względem osobliwości etnograficznych. Kosmopolityzm ubraniowy nieszczególne tu zrobił postępy, a więc różnorodność prastarych ubiorów ludowych przechowała się dotąd we wszystkich zakątkach gubernii i niewątpliwie odmian samych tylko sukman do setki możnaby naliczyć. Należałoby przeto mniemać, że ze stron lubelskich *Wisła* w fotografie typów ludowych najobficiej zasiloną być winna. Lecz z góry można być pewnym, że na wezwanie, tyczące się dostarczenia fotografij typów ludowych, inteligencya prowincyonalna pozostanie głuchą, bo chociaż fotografią z amatorstwa zajmuje się wiele jednostek, jednakże chroniczny, nałogowy „chłopowstręt“ zbliżyć się do ludu nikomu z inteligencyi nie pozwoli, a więc i o fotografowaniu w ten sposób właściwości ludowych nie może być mowy i daremne pod tym względem są nawoływania *Wisły*. Natomiast gdyby „chłopowstręt“ przezwyciężyli fotografowie-amatorzy, zamieszkali w Lublinie i chcieli się przysłużyć *Wiśle*, mogliby to uczynić bardzo łatwo. W rozmaitych interesach z różnych okolic gubernii przybywają do Lublina włościanie, których gromadki snujące się po mieście codzień spotykać można. Ubiór ich bywa nieraz tak charakterystyczny i niepospolity, że zwraca uwagę najobojętniejszych nawet przechodniów. Otóż miejscy panowie amatorowie fotografii zamiast fotografowania parkanów, altanek lub piesków, niech zapraszają do pozowania spotykanych wieśniaków typowych, a w ten sposób w przeciągu kilku miesięcy mogą zebrać okazy typów niemal z całej gubernii. Przytem należałoby robić notatki o kolorze sukmany i obszycia jej i z jakiej miejscowości dany typ pochodzi. Przy dobrej więc chęci, łącząc przyjemne z pożytecznem, lubelscy amatorowie fotografii bez wielkich zachodów wyświadczyliby rzetelną usługę ubogiemu ludoznawstwu naszemu. Ale i z tej strony wątpliwą jest rzeczą, czy wołanie *Wisły* odezwie się przyjaznem echem i zachęci kogo do czynu. Tutaj trzeba jednostek pojmujących doniosłość badań etnograficznych, zamiłowanych w danym przedmiocie i zasobnych w środki odpowiednie, a takich osobistości w Lublinie daremnie byłoby szukać. — Sprawozdanie urzędowe wykazuje, że wpływ opłat miejskich w gub. Lubelskiej jest bardzo nieregularny, skutkiem czego zaległości wynoszą przeszło 30%. Taki stan rzeczy oddziaływa fatalnie na gospodarkę miejską. Bruki i oświetlenie w najwyższym stopniu zaniedbane. Względnie najbogatszem miastem jest Lubartów, gdyż w kapitałach zapasowym i żelaznym posiada 108,866 rb., tj. prawie trzecią część kapitałów wszystkich miast w gub. Lubelskiej. — Sprawa urządzenia tramwajów elektrycznych w Lublinie, po trzech latach chwiejności i układów, przeszła obecnie w fazę pomyślniejszą, dzięki zmianom warunków koncesyi, które przedtem były nazbyt uciążliwe. Jest tedy nadzieja, że w Lublinie elektryczność zapanuje prędzej, niż w Warszawie.

Kalisz. Najnowszy w naszym kraju oddział Towarzystwa przemysłu i handlu w Kaliszu, istniejący dopiero od paru miesięcy, rozwija się coraz bardziej i zaczyna wykazywać swą żywotność. Na ostatniem posiedzeniu p. Teodor Kindler poruszył doniosłą sprawę eksploatacyi tor-

fu na opał. Zebrani zaproponowali, ażeby zarząd rozesłał kwestryonaryusze do obywateli ziemskich dla zebrania danych statystycznych, dotyczących przemysłu torfowego i torfowisk w gub. Kaliskiej. Ponieważ istnieją bardzo ubogie dane o stanie geologicznym i mineralogicznym nietylko w gub. Kaliskiej, lecz w całym kraju, więc na wniosek p. Alfonsa Parczewskiego postanowiono uprosić kasę Mianowskiego (!?) ażeby zechciała wysłać delegacyę do zbadania ziemi kaliskiej pod względem geologicznym i mineralogicznym. Na tem samem posiedzeniu rozprawiano również dość żywo nad inną sprawą na czasie: wychodźtwie ludu za granicę.. Ziemianie przyszli do przekonania, że chcąc zatrzymać robotników w kraju, należy im dać taką płacę, jaką pobierają za granicą. Czy ten środek będzie jednak całkowicie skutecznym? Niewątpliwie przeważną część robotników wiejskich zatrzyma, ale pewien i to dość znaczny ich procent powędruje na Zachód, bo chłopa naszego ciągnie nietylko zarobek lepszy, lecz i urok kultury wyższej. Jak jest znaczny ruch robotników, wędrujących za granicę, dowodzi zapewnienie p. Majzera (nie wiemy, o ile wiarogodne), iż w grudniu r. z. zmieniono w Kaliszu od powracających przeszło *półtora miliona* marek. Nadto, od września do grudnia poczta kaliska codziennie odbiera z zagranicy przeciętnie po 70 listów pieniężnych, których najmniejsza wartość stanowi 30, a najwyższa 200 marek. Są to kwoty przesyłane przez wychodźców rodzinom. Niemałym bodźcem do wychodźtwa między innymi są także namowy agentów. *Gazeta Kaliska* utrzymuje, iż niektórzy ziemianie zdołali zatrzymać część służby folwarcznej powiększeniem płacy i ordynaryi. Dawniej płacono parobkowi 18 rb. rocznie w gotówce, 12 korcy żyta, korzec pszenicy, trzy korce jarzyny, 50 korcy kartofli i pięć kupek torfu (w kaliskiem), co wszystko razem z utrzymaniem krowy na dworskiem pastwisku i mieszkaniem wynosiło 120 rb. rocznie. Odtąd robotnik pobierać będzie 28 rb. w gotówce, 14 korcy żyta, 1½ korca pszenicy, 4 korce jarzyny, 60 korcy kartofli i 8 kupek torfu, czyli 150 rb. A zatem każdy parobek będzie kosztował o 30 rb. więcej, ale — *Gaz. Kaliska* pisze — że gdyby wymagano nawet więcej, ziemianie nie odmówiliby; doszli bowiem do przekonania, że sprowadzanie robotników z okolic dalszych kosztuje nierównie więcej, a połączone bywa z wielu trudnościami, przykrościami i zawodami.

Petersburg. *Russk. Wied.* piszą: „Na mocy art 138 ustawy prasowej wydawnictwa peryodyczne, jak wiadomo, obowiązane są niezwłocznie i bezpłatnie, bez wszelkich zmian i uwag w tekście i bez wszelkich w tym numerze odpowiedzi zamieszczać w swych szpaltach zakomunikowane przez rząd urzędowe zaprzeczenie lub sprostowanie podanej przez dziennik wiadomości. Z tego powodu minister spraw wewnętrznych wydał okólnik do gubernatorów, w którym mówi, że chociaż uznaje ze swej strony za pożyteczne drukowanie przez instytucye i osoby urzędowe zaprzeczeń, przewidzianych we wspomnianym artykule prawa, jednakże sądzi, że korzystać z tego prawa wspomniane instytucye i osoby powinny ze szczególną ostrożnością, po uprzedniem rozważeniu, czy istotnie zaprzeczenia będą odpowiadały celowi, gdyż inaczej tracą one wszelką wartość i znaczenie. Wobec tego minister spraw wewnętrznych daje gubernatorom następujące wskazówki: 1) Wspomniane powyżej zaprzeczenia mogą być pomieszczane w szczególnie ważnych wypadkach, kiedy podana w dzienniku lub innem wydawnictwie peryodycznem wiadomość istotnie jest poważna oraz posiada znaczenie wyzywające, mogące wywołać niebezpieczne następstwa. 2) Zaprzeczenia te winny być ściśle urzędowe, bez używania wyrażeń polemicznych, wogóle na ściśle stwierdzonych faktach, niedających się obalić, oraz ograniczać się podaniem istotnego znaczenia faktu. 3) Winny być ściśle według art. 138 ustawy cenzuralnej pomieszczane w tem czasopiśmie, w którem była wydrukowana sprostowana wiadomość i, o ile to możliwe, w najkrótszym czasie, aby zgładzić wrażenie, jakie wywarło fałszywe lub niedokładne podanie wiadomości; przytem za każdym razem należy się powoływać na art. 138 ustawy cenzuralnej, jako na zasadę obowiązkowego wydrukowania zaprzeczenia, w razie zaś niezamieszczenia donosić o tem niezwłocznie głównemu zarządowi spraw prasowych. 4) Na mocy tegoż art. 138 ustawy cenzuralnej, zaprzeczenia lub sprostowania powinny pochodzić od głównej władzy miejscowej, która jest za nie odpowiedzialna."

KRONIKA

Co to jest? W *Kuryerze Warsz.* pomieszczona została szykana zbiorku poetyckiego „Nastroje" p. K. Sterlinga. Że autor tego złośliwego gwizdu, p. An. Po., w przelocie potrąca „wszystkich Sterlingów," że odmawia Kazimierzowi wszelkiej zdolności wierszopisarskiej, że każe czytelnikom *Kuryera* urągać takim jego „błędom językowym," jak: „włóczy słabe skrzydła" — „łzy mu kapały" — „opasał nim krąg" — „ciało psa martwe, strzaskane" itp., że go lekceważy, popycha, poszturguje — to nas wcale nie dziwi. Przed takimi widokami u nas nawet zdumiony zając nie staje słupka. Są to wypadki zwyczajne, z nich przeważnie składa się galerya obrazów naszej krytyki, gdzie sprawozdawca jest zwykle sędzią, autor — oskarżonym, a jego praca — rzeczowym dowodem przestępstwa, gdzie świeżo wydana książka bywa nieraz sposobnością do załatwienia osobistych rachunków, do okazania śmiałości w opluciu cudzego warsztatu lub podeptaniu cudzego zagona. Wszystko to leży w zwyczaju i stylu warszawskim. *Ce sont nos galeries* — jak by powiedział Francuz. Ale w banieczniku, którym p. An. Po. nacina skórę p. K. Sterlingowi; znajduje się przy końcu najostrzejszy nożyk: „Tak może pisać tylko ktoś, kto pisze *nie w swoim, nie we własnym języku*." Ostatnie wyrazy podkreślił sam sprawozdawca, a znaczą one: p. K. Sterling jest Żydem, więc pisząc po polsku, pisze *nie w swoim, nie we własnym języku*. Uprzytomniwszy sobie ból i zgrozę człowieka tak niewinnie i brutalnie zranionego w najsilniejszych i najdrażliwszych uczuciach, określimy odrazu ludzką i społeczną wartość podobnej zniewagi. Wszakże nie do niej jeszcze odnosi się nasze pytanie, bo *hep hep!* należy u nas do znanych i popularnych baseł. Zagadka tkwi gdzieindziej. Wydawcą *Kuryera Warszawskiego* jest p. S. Lewental, Żyd i członek zarządu gminy izraelskiej w Warszawie; kiedy narodził się u nas syonizm, a zwłaszcza kiedy zaczął przyciągać ku sobie inteligencyę żydowską, między innymi wystąpił przeciw niemu *Kuryer Warszawski*; więc pytamy: jaki cel ma publiczne znieważanie i szykanowanie autorów polskich pochodzenia żydowskiego w piśmie antisyonistycznem i wydawanem przez Żyda? Co to jest? Czy to jest coś w rodzaju sklepu z wieprzowiną pod szyldem: Mendel Hapergeld i Sp.?

Wiadomości społeczne. Poseł L. Michelin podał do sejmu finlandzkiego projekt (motion) prawa wyborczego dla kobiet. (*Siewiern. Kuryer* nr. 99).

Szkoły. Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż uczenice gimnazyów i progimnazyów, dopóki znajdują się w spisach tych zakładów, nie mogą być dopuszczane do żadnych egzaminów specyalnych.

— Studenci wydziału rolniczego na uniwersytecie w Hali zawiadamiają kolegów nowoprzybywających, że wykłady w semestrze letnim rozpoczną się 23 kwietnia. Bliższych informacyj udziela p. Jerzy Gabryel (Friessenstrasse 2).

Z sądu. Dnia 22 lutego wileńska Izba sądowa przy udziale przedstawicieli stanów rozstrzygnęła sprawę o nadużycia, których dopuścili się b. policmajster Wilna r. st. Piotr syn Sergjusza Rajewski, p. o. brandmajstra straży ogniowej wileńskiej Edward syn Piotra Bek, urzędnik kancelaryi policmajstra Waleryan Dowgiałło, b. sekretarz tej kancelaryi, Aleksander Gawłowicz oraz kanceliści Jutkiewicz i Kosma Asowski. Oskarżono ich o nielegalne dochody, ściągane z dorożkarzy wileńskich. Stały haracz zabezpieczył ich od wybrakowania ekwipażów i wszelkich prześladowań. Bek ściągał szczególnie znaczny haracz od nowicyuszów: do dwunastu rubli za każde wydane świadectwo. W razie nieuiszczenia tej opłaty, nie wydawano dorożkarzom świadectwa. Prócz tego Bek wyzyskiwał rozporządzenia policmajstra, na których mocy policya codziennie sprowadzała po kilkunastu dorożkarzy za nieostrożną jazdę i z innych powodów. Na mocy postanowienia policmajstra przetrzymywano tych przestępców po kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin na podwórzu zarządu policyi. Za zwolnienie od kary przed oznaczonym terminem Bek pobierał od dorożkarzy po rublu, a w zimie prócz tego 30—40 kop. za prawo umieszczenia konia w stajni straży ogniowej, niby tytułem zwrotu kosztów wyżywienia. Głównem źródłem nielegalnych dochodów Beka, przy współudziale b. policmajstra Rajewskiego, były letnie przeglądy dorożek, odbywające się corocznie w maju. Czynił je Rajewski osobiście, bez udziału przedstawicieli zarządu miejskiego. Wydawał on również sam opinię o należytym porządku dorożek. W razie zauważenia wad odbierano numery i wręczano je Bekowi. Oznajmiał on dorożkarzom, iż policmajster kazał brać po 2 rb. za zwrot numeru i po 3 za niestawienie się na przegląd: „Mniej wziąć nie mogę — mówił — gdyż swoich pieniędzy dokładać nie będę." Prócz tego haraczu policmajster, wbrew przepisom, nakładał kary na dorożkarzy za drobne wykroczenia i kazał ich trzymać po 6—24 godzin na podwórzu zarządu policyi. Były jeszcze inne źródła dochodów: Rajewski przywłaszczał sobie rocznie 300 rb., jako wynagrodzenie od każdego przedstawienia w teatrach i cyrku za dozór straży ogniowej nad gmachami. Fundusze te miały stanowić własność straży. Wileńska Izba sądowa wydała wyrok następujący: Były policmajster m. Wilna, radca stanu, Piotr syn Sergjusza Rajewski, 57 lat liczący i były brandmajster wileńskiej straży ogniowej, szlachcic Edward Harald-Robert syn Piotra Bek, lat 40, pozbawieni wszystkich praw i przywilejów, oraz wysłani na osiedlenie do gubernii Tomskiej z zastrzeżeniem, iż po upływie lat dwunastu od chwili przybycia na miejsce wysłani będą mogli obrać sobie miejsce zamieszkania w granicach Rosyi europejskiej i azyatyckiej, z wyjątkiem stolic gubernij stołecznych, bez możności jednak powrotu do utraconych praw stanu. Byli urzędnicy kancelaryi policmajstra: Waleryan Dowgiałło, Kosma Assowski, Aleksander Gawłowicz i Jutkiewicz, uznani za niewinnych. Rajewskiego bronił p. J. M. Kamiński.

Konkurs. Dnia 13 kwietnia r. b. upływa termin prac konkursowych z zakresu medycyny i chirurgii do nagrody im. Adama Chojnackiego w sumie 900 rb. Natomiast od daty powyższej zaczyna się termin dwuletni do przedstawienia prac ubiegających się o tę samą nagrodę z zakresu medycyny popularnej. Prace muszą być oryginalne. Z drukowanych przyjmowane będą tylko te, które wyszły w ciągu ostatnich czterech lat, poprzedzających konkurs. Prace powinny być napisane w języku rosyjskim. Nagrody otrzymują jedynie poddani rosyjscy. Termin ostateczny — 13 kwietnia r. 1902. Wybór języka, w jakim praca nagrodzona ma być drukowana, zależy od woli autora.

Zdrowie publiczne. Ministeryum komunikacyi uchwaliło wprowadzenie na wszystkich kolejach dozoru sanitarno-lekarskiego.

Jubileusz. Dnia 17 lutego obchodzono w Rzymie 300 rocznicę śmierci Giordana Bruno, który wyrokiem inkwizycyi został spalony za „herezyę, bezbożność i niemoralne życie." Z racyi tej, głęboko każdy filozoficzny umysł wstrząsającej uroczystości, zwołano do Rzymu kongres anti-papieski, który jednak do skutku nie przyszedł, a znany uczony Antoni Labriola rozpoczął szereg wykładów o „Losach dziejowych Giordano Bruno." Godzi się zaznaczyć, że „losy" te z wielkim talentem w literaturze naszej przedstawione zostały przez Alfreda Nossiga w jego młodzieńczym utworze „Tragedya myśli."

Przemysł i handel. Ministeryum finansów złożyło w Radzie państwa projekt prawa o handlu na raty. Handel ten niezmiernie rozpowszechniony śród ludności mniej zamożnej, wielokrotnie zwracał na

siebie uwagę prasy, sądów i administracyi niezwykłym wyzyskiem, praktykowanym przez handlujących. Na Zachodzie w ostatniem dziesięcioleciu wydane zostały rozporządzenia, mające na celu ukrócenie nadmiernej chciwości handlarzy. Za tym przykładem obecnie i ministeryum finansów ułożyło szereg zasad, normujących wzajemny stosunek stron, sprzedawcy i kupującego. W szeregu tych zasad — podkreślamy kilka ustępów: „W razie niezapłacenia dwu po sobie następujących rat, sprzedawca mocen jest żądać bądź spłacenia całej pozostałej sumy szacunkowej — jednak z odpowiednim zmniejszeniem opłaty, pobieranej z tytułu dzielenia długu na raty — bądź też rozwiązania umowy. Z prawa tego korzysta również, jeżeli kupujący zniszczy w złej wierze towar otrzymany na raty. Przy rozwiązaniu umowy kupujący obowiązany jest zwrócić towar, a sprzedawca— pobraną już zapłatę, przyczem pierwszy winien jeszcze wynagrodzić sprzedającego za użytkowanie rzeczy i wszelkie możliwe uszkodzenia. Gdyby wysokość tego wynagrodzenia nie została zastrzeżona w umowie, w takim razie określa ją sąd stosownie do ogólnie przyjętej opłaty za najem rzeczy i mając na względzie zmniejszenie się wartości rzeczy skutkiem używania. Nie dopuszcza się w umowie określenia wynagrodzenia wyższego nad normę przyjętą."

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa zaliczkowo-wkładkowego w Ozorkowie (gub. Kaliska) oraz ustawę Towarzystwa rzemieślniczego i zaliczkowo - wkładowego dla drobnego handlu w Święcianach (gub. Wileńska).

W pow. Mohylowskim gub. Podolskiej znaleziono bogate pokłady ołowiu, których analiza wykazała 77% metalu. (*Syn Otiecz.*).

Odpowiedzi Redakcyi.

Zarządowi Słow. naucz. wyz. mojż. w Łodzi. Żądane numery *Prawdy* z roku zaprzeszłego i przeszłego są wyczerpane.

OFIARY.

Na wpisy dla studentów: bezimiennie rb. 25.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy prospekt **Ekonomisty**.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Февраля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.